Rok I. Lwów, 1. Marca 1899. Nr. 2.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct.

Adres Redakcyi: Lwów. ulica Kurkowa l. 14.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

O samokształceniu.

„Podstawą całego wykształcenia jest wykształcenie życiowe i autodydaktyzm".
(Pinst — Aforyzmy.)

Cały legion wielkich umysłów ludzkich, które w szeregu wieków u różnych narodów się pojawiły, czerpał swoją wiedzę, natchnienie i twórczość, nie z ręki drugiej, ale z samodzielnej pracy nad sobą samym z dowolnego zagłębiania się w takiej gałęzi nauki, która każdemu z nich najlepiej odpowiadała, w której każdy z tych wielkich geniuszów świata mógł najkorzystniej swoje przyrodzone zdolności rozbudzić, kształcić i doskonalić. Okoliczności, które się na to składały, że wielcy ludzie — po największej części nie mieli sposobności korzystać z istniejących w danym czasie zakładów naukowych, czy szkół, nie zawsze ujemnie na nich wpływały, owszem było to raczej bodźcem dla nich do pracy więcej wytężonej, więcej ich naturze odpowiadającej, która im pozostawia swobodny wybór kierunku, w którym później zasłynąć mieli. Brak koniecznego źródła wiedzy, zastępywali więc *samouctwem*, a czy to było dla nich z większą szkodą, czy pożytkiem, okazało późniejsze życie, stawiając ich w szeregu geniuszów. Takimi byli Rousseau, Bethoven i wielu innych. Dzisiejsze czasy dają pod tym względem daleko pomyślniejsze warunki. Dzisiaj, kiedy rozum ludzki specyalizuje i rozgałęzia naukę na mnóstwo kierunków — odpowiednio i szkoły, których celem przygotować ludzi dla tych kierunków, rozgałęziają się, a przeto dają możliwość wyboru tego lub owego kierunku, jaki danej jednostce lepiej odpowiada. Lecz choć jest lepiej niż było dawniej, nie jest najlepiej, bo gdy nawet istnieją zakłady kilkugatunkowe, to jeszcze każdy z nich obejmuje wiele nauk a wszystkie wymagają jednakowej pracy a są i takie, które nie mają prawa obywatelstwa w zakładzie naukowym. Uzupełnienie tych całkowitych lub częściowych braków zależy już od samego siebie a dziwnym zbiegiem okoliczności średni zakład galicyjski zwłaszcza taką wiedzę, która ma najracyonalniejsze podstawy, by była szerzej traktowana, albo zupełnie usuwa albo tylko w atomowej ilości nią się zajmuje. Przypatrzmy się, jak wygląda i jakie ma wyniki nauka t. z „oficyalna", a studyum na własną rękę i z własnego popędu.

W pierwszym razie nauka albo młodego człowieka wyjątkowo nęci i on pragnie się jej poświęcić, albo ona nie odpowiada zupełnie charakterowi jego umysłowemu, jest mu nieznośną i wstrętną. Jeżeli młody człowiek czuje jakiś wewnętrzny pociąg, jakąś instynktową sympatyę do pewnej gałęzi wiedzy, to tu spotyka go jeden z najdotkliwszych zawodów: póty a nie dalej! Jak strumień wody trzeźwi go w szlachetnym zapale urzędowy

przepis, który dozwala tyle a nie więcej, tak a nie inaczej, udzielać tej wiedzy. Plastycznie wygląda to tak: jest kilka nakreślonych kwadratów; umysł stopniowo z jednego wchodzi na drugi a w ostatnim zatrzymuje się i niewolno mu już dalej się ruszyć po za ten ostatni kwadrat. Tak się ma n. p. z naukami przyrodniczemi. — Jeżeli zaś dany przedmiot, najczęściej filologia klasyczna zamiast pociągać, odstręcza, to jest tylko strata czasu, który może być z korzyścią inaczej zużytkowany. To jeszcze najmniejsze zło, ale wynikają ztąd inne, daleko gorsze następstwa, wyrabia się ospałość i niedołęstwo umysłu, owo nieszczęsne „byle się prześliznąć" i wiele innych. Tu i tam korzyść bardzo mała lub żadna. Ale tak jest i ten stan rzeczy, przynajmiej na razie zmienić się nie da, trzeba więc i należy osłabić jego ujemne skutki, trzeba pracować samodzielnie nad sobą, przyjść samemu sobie z pomocą, a taka samopomocą jest w najrozleglejszem znaczeniu *samokształcenie*.

Są to zupełnie dwie odmienne rzeczy, gdy się uczę odkryć Kolumba, jako lekcyi, czy też czytam ich opis swobodnie dla zaspokojenia ciekawości umysłowej. Tu cała skarbnica wyobrażeń mózgowych, cały zasób pojęć, łączących się ze sobą w nieprzerwany łańcuch refleksyi, rozwagi i krytycyzmu przychodzi z pomocą umysłowi. Kojarzenie wyobrażeń, ten skarb myśli ludzkiej, którym on stwarzał i stwarza najpotężniejsze swe dzieła, nasuwa coraz nowe punkty widzenia, rozjaśnia horyzont czytającego, nie krępując zupełnie jego indywidualizmu. A już najważniejszą jest rzeczą że wtenczas czytający nie wyrzeka się własnego poglądu na rzecz, nie ocenia jej według sądu innego, bardzo często spaczonego, który jednak ma za sobą urzędową powagę i dlatego powtarzany być musi. Odbywa się tu jeden z wielu gwałtów na naturze jednostki. Jak komu raz podobało się rzecz ocenić, przez ten sam pryzmat całe pokolenia na nią patrzeć muszą! A gdzież własna wola, gdzie samodzielność sądu, gdzie swoboda odsłonięcia myśli jednostek? na to miejsca niema.

Że szkoła te przedmioty, które wchodzą w program jej nauk tak a nie inaczej traktuje, ma zapewne do tego jakieś powody — ale po za obrębem nauk objętych programem szkół średnich, istnieją działy nauki, łączące się najściślej z tętnem życia społecznego, nauki, które mają olbrzymie znaczenie dla rozwoju tego życia, jak n. p. ekonomia społeczna i wiele innych jej pokrewnych, jak dokładna znajomość prądów socyalnych, jakie w społeczeństwie nurtują, ich kierunek, duch i rozwój obecny i t. d. Pomijam już jako mniej ważne i odpowiadające więcej usposobieniu jednostek, języki żyjące, jak angielski, francuski i znajomość ich literatury.

Uszlachetnienie natury ludzkiej postępuje w miarę, jak umysł poznaje coraz szersze okręgi wiedzy, zagłębia się we wszystkich zdobyczach ducha ludzkiego, poznaje wszystkie dziedziny nauki. W takim ogromie nabywa doświadczenia, sonduje sam siebie i swoje zdolności, w jakim kierunku mają się one kształcić i specyalizować. Nabywa niejako wprawy w odczuwaniu tych subtelnych różnic, które całą wiedzę ludzką dzielą na mnóstwo kategoryi. Objąwszy całość, łatwiej rozumie i wnika w jej części, łatwiej nakoniec odróżnia fantazyę od rzeczywistości, prawdę od kłamstwa.

Samokształcenie też tylko jedno zdolne jest naturę ludzką uszlachetnić. Ono nie nakłada więzów badaniu, nie krępuje czczą formalistyką naturalnej ciekawości, pozwala swobodnie dociekać, pozwala pytać lub przeczyć — pozwala tworzyć.

Oczywistą jest rzeczą, że ono musi być ujęte w pewien s y s t e m. Bezładne chwytanie tej lub owej książki, rozpoczynanie wszystkiego i niczego razem, może tylko szkodzić, bo uczy niesystematyczności, rozczłonkowuje energię myśli, usuwa badanie i zdrową analizę. Najlepszym dowodem na to, jakie korzyści przynosi samokształcenie, jest choćby jeden lub drugi język obcy, którego uczymy się w szkołach przez lat kilka lub kilkanaście, a opuściwszy szkoły w praktyce go zastosować nie jesteśmy w stanie, podczas gdy ucząc się go z własnej woli, w daleko krótszym czasie posiadamy go gruntownie.

Samokształcenie dalej powinno być *racyonalne*, to znaczy powinno obejmować to, czego szkoła bardzo mało, lub wcale nie uwzględnia, a więc ten odłam nauk praktyczno-społecznych, jeżeli je tak nazwać można, który, mimo że jest usunięty z programów szkolnych, a raczej właśnie dlatego godzien bliższego poznania i zgłębienia, zwłaszcza, że najżywotniejsze kwestye społe-

czne teraz i w przyszłości są z nim związane. Samokształcenie się w tej gałęzi nauk nietylko, że nie wpływa ujemnie na spełnianie obowiązków odnośnie do przedmiotów szkolnych, ale owszem umożliwia łatwiejsze ich zrozumienie i pojmowanie ich z takiego stanowiska, jakie jest najracyonalniejsze. Pamiętajmy, że samokształcenie wyrabia w nas energię i samodzielność, otwiera przed nami szeroką i otwartą drogę w krainę wiedzy ludzdzkiej, dla której pracowały najszlachetniejsze jednostki nie dlatego, by ją ukrywać przed następnemi pokoleniami, ale żeby one z niej czerpały otuchę i zapał do dalszej pracy dla doskonalenia własnego a dla szczęścia wszystkich. *S. O.*

Taras Szewczenko.

W 38 rocznicę zgonu.

W kulturalnym pochodzie każdego narodu są ludzie, którzy, postępując na czele, wskazują niejako drogę całemu społeczeństwu; w nich krystalizują się najwznioślejsze ideały, najpiękniejsze dążności i porywy narodu w danej epoce. Ludzi ci — to duchowi przewodnicy społeczeństwa, — to geniusze.

Dla narodu ruskiego człowiekiem takim jest Taras Szewczenko. Ma on olbrzymie znaczenie nietylko w rozwoju piśmiennictwa ruskiego, ale także w rozwoju świadomości narodowej Rusinów. Nic więc dziwnego, że wspominają o nim Rusini i nie Rusini, ilekroć tylko mówi się o sprawach ruskich.

Chciałbym tedy przedstawić pokrótce twórczą działalność tego wielkiego poety, przedstawić ją taką, jaką jest w rozwoju swych istotnych, zasadniczych przymiotów.

Zdolności poetyckie rozbudziły się u Szewczenki prawie równocześnie z wyzwoleniem jego z poddaństwa, w r. 1838, podczas pobytu w Petersburgu.

Zastanawiania się nad samym sobą, wspomnienia z niewesołych lat dziecięcych, długoletnie poniewieranie się w pańskiej służbie i nieszczęsna dola jego rodziców — chłopów poddanych, poczucie własnej ludzkiej godności i siły poetyckiej, epizodyczne obrazy ze znanego mu dobrze życia rodzinnego ukraińców — oto treść pierwszych dum Szewczenki, ballad i poematów, napisanych do r. 1840. Płodem głębszego zastanowienia się nad życiem rodzinnem był poemat „Kateryna“. Analizując stosunki rodzinne nie posunął się Szewczenko już dalej w swych późniejszych utworach, chociaż bardzo często powraca w nich do podobnego tematu.

Gorąca obrona, rehabilitacya kobiety, która pada ofiarą uczuć swego serca i niesumienności kochanka stanowi najulubieńszy temat jego późniejszych utworów pierwszorzędnej wartości, jak: „Najmyczka“, „Maty pokrytka“ i innych, oddając najpiękniejsze świadectwo szlachetnym uczuciom poety.

W r. 1840—44 posuwa się Szewczenko w swej działalności twórczej znowu o jeden stopień wyżej, on obejmuje myślą już cały swój naród w jego przeszłości i w jego stosunkach do innych narodów i pisze swe poematy historyczno-patryotyczne.

Od współczesnej niewoli Ukrainy, od współczesnych nieszczęść swego narodu, ulatuje poeta duszą w przeszłość Ukrainy — w czasy jej burzliwego życia politycznego, w czasy walki kozactwa z Turkami i Polakami. W fantazyi poety otwierają się szerokie mogiły, występuje z nich długimi rzędami butne kozactwo, rozbrzmiewają jego okrzyki, szumią sztandary, atamani na wronych koniach objeżdżają pułki i dają znaki błyszczącemi buławami, kobzarze śpiewają o sławie kozackiej i zagrzewają rycerstwo do boju, świecą krwawe łuny pożarów, padają głowy kozackie za wolność Ukrainy.....

Jednakowoż te idealistyczne poglądy Szewczenki na kozactwo zmnieniały się stopniowo, gdy poeta dowiadywał się, ile to samolubnych i oligarchicznych instynktów ukrywało się pod patryotyczną maską wielu dowódców kozackich. Smutek ogarnął duszę poety, gdy zastanowił się nad tem, że wszystkie te walki kozactwa, prowadzone z takim zapałem, z takiemi ofiarami, nie dały w rezultacie nic realnego, oprócz zniszczenia, ruin i mogił, w których pogrzebano polityczną wolność Ukrainy.

Przeszłość kozacka bladła w oczach Szewczenki wobec współczesnej niedoli narodu. Ucisk polityczny, jaki cierpiała Ukraina pod rosyjskiem panowaniem i społeczna niewola ludu poddańczego — sprawiły, że Szewczenko stał się jednym z najbardziej śmiałych i dzielnych obrońców praw człowieczeństwa.

W rosyjskim caryzmie widział on główne źródło społecznej i politycznej niedoli. Przeciwko nadużyciom cara Piotra I. podnosi on potężną pieśń — skargę, wkładając ją w usta hetmana Połupotki i kozaków, którzy zginęli w błotach nadmorskich, przygotowując miejsce na carską stolicę.

W poemacie „Son“ zwraca ostrze swej satyry przeciwko służalstwu, biczując tych ziomków Ukraińców, którzy dla osobistej wygody wyrzekli się swego narodu i zaczęli służyć wrogom na szkodę Ukrainy. Odczuwając niewolę rodzinnego kraju, Szewczenko wznosi się na stanowisko ogólnoludzkie i współczuje z wszystkimi narodami, które walczą z tyranią o wolność polityczną. Taki energiczny protest przeciwko panowaniu jednego narodu nad drugim, przeciwko zdobywaniu obcych krajów dla samolubnych celów tyrana, przeciwko militaryzmowi — wypowiedział Szewczenko w swym poemacie „Kaukaz.“

Śmiałość pomysłu, siła uczucia i słowa, szeroki światopogląd, ogólnoludzkie ideały braterstwa i wolności zdobyły poematom: „Son“ i „Kaukaz“ — wybitne miejsce w europejskiej poezyi politycznej.

Poglądy poety na kwestye społeczne obracają się około jednego wielkiego zła — około poddaństwa. Całą siłą swego słowa twórczego stara się poeta wykazać nędzotę tej instytucyi społecznej srogość panów i cierpienia ludu. On kreśli nam cały szereg obrazów niewoli społecznej, całą galeryę ciemnych portretów właścicieli i chłopów-poddanych. Niewolę poddańczą znał poeta dobrze odczuł ją na samym sobie, poznał ją patrząc na nieszczęsną dolę swej własnej rodziny. — Zniesienie poddaństwa uważał za najważniejsze zadanie swego czasu — i jego słowo ogniste bezsprzecznie także niemało przyczyniło się do usunięcia tej krzywdy społecznej.

Takie były zasadnicze poglądy Szewczenki, które występują stopniowo w jego poezyach.

Jakżeż przedstawiają się jego utwory ze strony literacko-artystycznej?

W pierwszych latach swej twórczości Szewczenko jest romantykiem. Skrzydlata poezya romantyczna, która wyłoniła się z kulturalno-politycznych przewrotów na zachodzie, okrążywszy w tryumfalnym pochodzie całą Europę, zawitała także na Ukrainę i znalazła w osobie Szewczenki na jakiś czas gorącego zwolennika. Jednakowoż już w romantycznych jego utworach występuje na pierwszy plan obserwacya realnego życia — i wkrótce zdobywa sobie stanowczą przewagę.

Szewczenko jest lirykiem w pełnem znaczeniu tego słowa. Wszystkie zdarzenia, jakie opisuje, przepuszcza on przez pryzmat osobistego uczucia, nadając im przez to oryginalny koloryt. Nawet w spokojnem opowiadaniu tkwi głębokie, rzewne uczucie samego poety.

„Najcenniejsze perły liryki — powiada jeden z krytyków ruskich — to „dumki“ Szewczenki. W nich widzimy i złote odbłyski chmurki, co płynie za zachodzącem słońcem — i srebrną, szeroką strugą dnieprową — i nawpół rozwaloną chatę chłopa ukraińskiego; — słyszymy tajemniczy szum boru — i ciche, pieszczotliwe słowa młodej pary zakochanych — i ciężkie westchnienia przybitego niedolą najemnika; — drży w nich i krwawa łza samego poety — i łzy dziewczyny, co tęskni za lubym i strugi potu niewolniczych mas ludowych; — w „dumkach“ Szewczenki widzimy całą skalę uczuć od osobistego nieszczęścia do wszechludzkiej tęsknoty za ideałem prawdy, oświaty, nauki, braterstwa i wolności.

Szewczenko przedstawia jeden z nielicznych w literaturze europejskiej przykładów poety ludu, obrońcy szerokich mas ludowych, którego poezye — to pieśni — łzy nieszczęsnej, zgnębionej duszy narodu, którego jakby cały naród wybrał z pomiędzy siebie, ażeby wyśpiewał jego niedolę. W imieniu też całego narodu zaśpiewał Szewczenko nową pieśń wolności za której odgłosem podążą jeszcze liczne pokolenia przyszłości. *T. M.*

Do Osnowianenka.

Biut' porohy; misiać schodyt',
Jak i persze schodyw....
Nema Siczy, propaw i toj,
Chto wsim werchowodyw!
Nema Siczy! — Oczerety
U Dnipra pytajut':
„De-to naszi dity diłyś?
De wony hulajut'?“
Czajka skyhłyt' litajuczy,
Mow za dit'my płacze;

Sonce hrije, witer wije
Na stepu kozaczim.

Na tim stepu skriż mohyły
Stojat' ta smujut';
Pytajut' sia u bujnoho:
„De naszi panujut?
De panujut', benketujut'?
De wy zabaryłyś?
Wernite sia! dywite sia:
Żyta pochyłyłyś,
De pasły sia waszi koni,
De tyrsa szumiła,
De krow Lacha, Tataryna
Morem czerwoniła....
Wernite sia!....
— Ne wernut' sia!
Zabrała, skazało synie more:
„Ne wernut' sia, na wiki propały!“
Prawda more, prawda synie:
Takaja jich dola!
Ne wernut' sia spodiwani,
Ne wernet' sia wola,
Ne wernet' sia Kozaczyna,
Ne wstanut' het'many,
Ne pokryjut' Ukrainu
Czerwoni żupany.
Obidrana syrotoju
Po-nad Dniprom płacze;
Tiażko-ważko syrotyni,
A nichto ne baczyt'
Tilky woroh, szczo śmije sia!
Śmij sia, lutyj wraże!
Ta ne duże, bisiw synu!
Sława ne polaże,
Ne polaże, a rozkaże,
Szczo dijałoś w świti,
Czyja prawda, czyja krywda,
I czyji my dity!
Nasza duma, nasza piśnia
Ne wmre, ne zahyne....

Ot-de bude nasza sława,
Sława Ukrainy!
Bez zołota, bez kameniu,
Bez chytroji mowy,
A hołosna ta prawdywa,
Jak Hospoda słowo.

Czy tak. bat'ku atamane?
Czy prawdu śpiwaju?
Ech, jak-by to... ta szczo j kazat'!
Kebety ne maju,
A do toho w Moskiwszczyni
Kruhom czużi lude.
„Ne poturaj!“ може skażesz;
Ta szczo z toho bude?
Naśmijut' sia na psałom toj,
Szczo wyllu ślozamy;
Naśmijut'sia! — Tiażko, bat'ku,
Żyty z worohamy!
Pobrowsia-b z Moskalamy,
Jak-by mało-ś syły;
Zaśpiwawby, buw hołosok,
Ta pożyczky zziły.
Ottake-to łycho tiażke,
Bat'ku ty mij druże,
Błużu w śnihach ta sam sobi:
„Oj ne szumy łuże!“
Ne wtnu bilsze. A ty, bat'ku!
Jak sam zdorow znajesz!
Tebe lude poważajut,
Dobryj hołos majesz:
Śpiwajże jim mij hołube!
Pro sicz, pro mohyły,
Koły jaku nasypały,
Koho położyły,
Pro starynu, pro te dywo,
Szczo buło, mynuło...
Utny batku! szczob nechotia
Na weś świt poczuły:
Szczo dijałoś w Ukraini,
Za-szczo pohybała,
Za-szczo sława kozaćkaja
Na wsim świti stała!
Utny, batku orle syryj!
Nechaj ja zapłaczu,
Nechaj swoju Ukrainu
Ja szcze raz pobaczu!
Nechaj szcze raz posłuchaju,
Jak te more hraje,
Jak diwczyna pid werboju
„Hrycia“ zaśpiwaje;
Nechaj szcze raz uśmichnet' sia
Serce na czużyni,
Poky łaże w czużu zemlu,
W czużij domowyni.

Taras Szewczenko.

Przyczynek do kwestyi:

Literatura polska w szkole

czyli

jak nie należy układać wypisów?

Że literatura polska wykładana jest w szkole w stopniu całkiem niedostatecznym, o tem już nieraz mówiono. Mówiono, ale nie kładziono na to należytego nacisku. Podczas niedawnej ankiety szkolnej zajmowano się przesadnie sprawą greki, łaciny, jakgdyby usunięcie przedmiotów tych samo przez się mogło być dobrodziejstwem. Co do mnie, ośmielam się wyrazić pogląd, że ogłupiać można równie dobrze z językami klasycznemi jak i bez nich. A przecież ogłupianie nie jest chyba zadaniem szkoły.

Literatura jest jednym z najważniejszych czynników wykształcenia ludzkiego; pewnik ten stosuje się do wszystkich narodów, może najbardziej jednak do nas. W naszem bowiem życiu społecznem po utracie niepodległości, literatura, zwłaszcza poezya, odgrywała (i odgrywa) rolę niezmierną, rolę wybitnej działaczki w służbie obywatelskiej. To też w szkole polskiej powinna zająć jedno z najpoczytniejszych miejsc, z którego nie wolno jej usuwać ani dla maskarady grecko-łacińskiej, ani nawet gwoli, wysoce zresztą pożytecznym, naukom przyrodniczym.

Ale nie dosyć wykładać przedmiot obszernie — trzeba go wykładać *dobrze*. Czy pod tym względem szkoła dzisiejsza odpowiada swemu zadaniu? Artykuł niniejszy niech służy za przyczynek do rozwiązania tej kwestyi.

Biorę pod skalpel krytyki „*Wypisy polskie dla klas wyższych szkół gimnazyalnych*. Część druga, ułożona przez Stanisława Tarnowskiego i Franciszka Próchnickiego. Wyd. drugie. Lwów 1896.“ Poprzestanę na „Części drugiej“, gdyż ta jest najważniejsza, przedstawia bowiem literaturę polską w okresie największego jej rozkwitu w wieku XIX.

Porozumiejmy się naprzód co do probierza, który stosować winniśmy do „wypisów“ tego rodzaju. Zasada to bardzo prosta: należy pomieszczać wyjątki z dzieł pisarza, mające największą wartość literacką i zarazem malujące nam najlepiej duszę pisarza, jego uczucia i przekonania; pisarzom większej miary poświęcać należy więcej uwagi i miejsca; unikać trzeba w życiorysach i ocenie autorów nudnego jałowego moralizowania, rzucania na prawo i na lewo frazesów o „złych“, „niezdrowych“ lub „dobrych“ i „zdrowych“ poglądach; trzeba umieć się zdobyć na szeroką tolerancyę i bezstronność.

Czy książka panów: Tarnowskiego i Próchnickiego wymaganiom tym odpowiada? Na pytanie odpowiedzieć musimy: nie, nie odpowiada żadnemu.

Zobaczymy naprzód, jak autorowie traktują prozaików — dziejopisarzy, krytyków literackich itd. Stronność występuje tu jaskrawo. Im pisarz bliższy p. p. T. i P. przekonaniami społeczno-politycznemi, tem większe ma u nich względy i łaski; rozpisują się o nim szeroko, zasługi jego literackie wywyższają nad miarę. Natomiast biada tym, którzy (mieli lub mają) poglądy „złe“ i „niezdrowe“, — choćby byli pisarzami wielkiego blasku i sławy, p. p. T. i P. obchodzą się z nimi po macoszemu. Dość przytoczyć kilka cyfr znamiennych: życiorys i ocena działalności *Lelewela* zajmuje 2 i pół stronicy, wypisy z jego dzieł — 4 (cztery); życiorys *Mochnackiego* — 1 i trzy czwarte stron., wypisy z niego — 5 str.; tymczasem *Kalinka* zasłużył sobie na 31 str. (życie — 5 str., wypisy — 26), *Szujski* — na 49 (życie — 7, wypisy 42), zatem tyleż co Szajnocha (21 str.), Lelewel, Mochnacki, Libelt i Kremer, razem wzięci. Przyczynę odgadnąć łatwo: Kalinka i Szujski byli współwyznawcami politycznymi p. p. T. i P. — dano im więc szerokie, wygodne fotele, podczas gdy inni, mniej „sympatyczni“ muszą siedzieć na wąskich krzesełkach. Ks. Kajsiewicz, kaznodzieja, dostał 10 i trzy czwarte str.: choć w historyi literatury ma mało znaczenia, ale za to, zdrowe poglądy! Nawet pierwszy lepszy St. Koźmian rozpiera się na 10 str. Cóż chcecie — „zdrowe“ poglądy!

Ciekawy bardzo w „Wypisach“ jest okres ostatni: „Czasy po r. 1863.“ Występują tu: Kalinka, Szujski, Małecki, Klaczko i Sienkiewicz. Zatem uwzględniono wyłącznie pisarzy konserwatywnego kierunku. Przypuszczać wolno, że gdyby Sienkiewicz pozostał wierny swym dawnym demokratycznym „grzechom“, to nie znalazłoby się dla niego miejsca w tym panteonie. Inni zna-

komici powieściopisarze nasi z czasów po r. 1863 — Orzeszkowa, Prus, Jeż-Miłkowski — zaszczytu tego nie dostąpili. A nawet w „uwagach ogólnych o literaturze" jest tylko króciutka wzmianka o Orzeszkowej — Prus i Jeż świecą nieobecnością. Za to jest Klaczko, chociaż należy on bardziej do literatury francuzkiej, niż polskiej. W bardzo ogólnikowej wzmiance o literaturze politycznej po powstaniu znalazł się i Klaczko z dwoma dziełami francuskiemi, no i ks. biskup Janiszewski z dziełem „Kościół, a państwo chrześcijańskie.

Krótki ustęp o filozofii nowszej w Polsce obfituje w wiele fałszów, jako to: pomieszanie filozofii pozytywnej z materyalistyczną, przypisywanie pozytywistom niedorzecznego poglądu, iż człowiek jest „istotą fizyczną tylko", twierdzenie, że filozofia nowsza prowadzi do „zaprzeczania wszelkiej moralności" i t. d. Kogo tu się okłamuje? Przez szacunek dla autorów gotów jestem sądzić, że okłamują siebie samych.

Ale zapytasz może, czytelniku — dlaczego wśród przytoczonych wybrańców nie znajdujemy poetów? Przecież poetów, i to niepoślednich, po powstaniu mieliśmy i dziś ich mamy! Autorowie „Wypisów" wymieniają też niektórych w „Uwagach ogólnych o literaturze..." Ale wyjątki przytaczają z jednego tylko — z Szujskiego! Szujski pasowany tedy został na przedstawiciela poezyi polskiej ostatniej doby!

A teraz słów kilka o tem, jak p. p. T. i P. obchodzą się z trójcą nieśmiertelną poetów naszych. Największą wadą tutaj jest, że nie mogą się obejść bez naiwnego, czasem oburzającego moralizowania względem Mickiewicza i Słowackiego. Tak n. p. chwaląc „Odę do młodości", jako utwór wspaniały, mówią wszakże: „Oda do młodości" jest w tem jednostronną, a zatem fałszywą, że młodości tylko przyznaje szlachetność uczuć i zdolność do poświęceń, które nie są przywilejem pewnych lat, ale istotą i cechą pewnych natur i usposobień". Naiwny Mickiewiczu, który nie wiedziałeś tego! Ale nie — Mickiewicz chyba wiedział, że są młodzi z wyziębionem sercem i ciasną głową, podczas gdy ludzie starsi mogą zachować święty zapał i polot *szlachetnej* młodości. Do młodych *sercem i duchem* zwracał się, a lekceważył tych, kogo „wiek *zamroczy*". Prześliczny jest też morał p. p. T. i P. natchnienie poetyckie podnosi wyżej uczucia ludzkie i wytyka im szlachetny kierunek: ale nie idzie za tem, iżby zachwyt poety miał znajdować zastosowanie w wypadkach praktycznego życia". Naturalnie — od czegoż „straż pożarna", od czegoż „praktyczna" polityka tłumienia uczuć goretszych i szerszych dążeń? Niech sobie poeci bujają w nadobłocznych sferach ideału — „nie idzie zatem, iżby zachwyt poety miał znajdować zastosowanie w wypadkach praktycznego życia"! Takich nauk udziela się młodzieży...

Z powodu „Konrada Wallenroda" autorowie naturalnie nie omieszkali wpaść w zapał kaznodziejski. „Kwestyę osobną stanowi myśl i wartość moralna *Wallenroda*. Dzieło zemsty i zdrady, choć z poświęcenia dla ojczyzny i z bohaterstwem podjęte i spełnione, dobrem nigdy być nie może". Jaka jest rzeczywista idea „Wallenroda"? Miłość ojczyzny i poświęcenie dla niej bez granic i miary, nie cofające się przed żadnym czynem, byleby klęskę wroga miał na celu. „Konrad Wallenrod" jest wspaniałym poematem walki *spiskowej*, walki z przemocą, prowadzonej w mroku tajemnicy. Czy spiski polskie byłyły rzeczą moralną? Wystarczy, jeśli powiemy, że były odpowiedzią na *niemoralną* politykę wynarodowienia i despotyzmu. To właśnie było ideą „Wallenroda", nie zaś zdrada. „Wallenrod" jest alegoryą, bo nie zapominajmy, że Mickiewicz, pisał go w Rosyi i przeprowadzić musiał przez czyściec cenzury carskiej. *Sposób* walki, wybrany przez Konrada, to rzecz całkiem podrzędna, to wątek *powieściowy nie ideowy*. Marny to krytyk literacki, kto nie rozumie tej prostej rzeczy i — niedorzeczny karzeł, urąga olbrzymowi.

Zaznaczymy jeszcze, że p. p. T. i P. rzucają dyskretną zasłonę na poglądy społeczno-polityczne Mickiewicza w r. 1848 — były to bowiem poglądy w najwyższym stopniu „niezdrowe"...

Mówiąc o Słowackim, autorowie „Wypisów" popuścili wodze swojej „moralizatorskiej" tendencyi. „*Wiersz do autora trzech Psalmów*" (oskarzenie (!!!) Krasińskiego) politycznie błahy i fałszywy, a moralnie niesprawiedliwy..." (Grób Agamemnona) „byłby godzien bezwzględnego i najgoretszego podziwienia, gdyby w zakończeniu przez nad-

miar swojego cierpienia nie był się poeta posunął do kilku słów obelgi (!!!) dla swojej ojczyzny". Tak piszą członkowie partyi stańczykowskiej, której istnienie samo jest obelgą dla ojczyzny! Pomysł „Króla-Ducha" jest, zdaniem p. p. T. i P. „błahy i marny". Zdaniem naszem, jest on pod wielu względami genialny, jakkolwiek w wykonaniu chybiony.

Zasługuje na uwagę to, że w „Wypisach" nie znajdujemy nic z „Kordyana", nic „Do autora trzech Psalmów" nic z „Beniowskiego", nic z „Grobu Agamemnona". „Niezdrowe" poglądy!

Moglibyśmy przytoczyć daleko więcej jeszcze dowodów na to, że „Wypisy" zadaniu swemu całkiem nie odpowiadają. Sądzimy wszakże, iż uwagi i cytaty powyższe wystarczają, aby przekonać każdego, że „Wypisy" są tylko środkiem propagandy stańczykowsko-klerykalnej, wciskaniem literatury w łoże Prokrustowe ciasnej i egoistycznej doktryny politycznej. *R.*

LACHAM.

(B. Zaleskomu.)

Szcze jak buły my Kozakamy,
A Uniji ne czut' buło,
Ot — tam — to weseło żyłoś:
Bratałyś z wolnymy Lachamy, —
Pyszałyś wolnymy stepamy;
W sadach kochały sia, ćwity,
Nenacze liliji, diwczata;
Pyszała sia synamy maty,
Synamy wolnymy. Rosły,
Rosły syny i wesełyły
Stariji skorbniji lita,
Aż poky imenem Chrysta
Pryjszły ksiondzy i zapałyły
Nasz tychyj raj, i rozłyły
Szyrokie more śliz i krowy, —
A syrit imenem Chrystowym
Zamorduwały — rozpiały.

Ponykły hołowy kozaczi,
Nenacze stoptana trawa!
Ukrajna płacze, stohne — płacze —
Za hołowoju hołowa
Do dołu pada. Kat lutuje,
A ksiondz skażenym jazykom
Kryczyt: „Te Deum! Allelujah!"

Ot - tak - to, Lasze, druże - brate.
Nesytiji ksiondzy, magnaty
Nas poriznyły, rozweły,
A myb i dosi tak żyły!
Podaj że ruku Kozakowy,
I serce czysteje podaj!
I znowu imenem Chrystowym
Woz'obnowym nasz tychyj raj!

Taras Szewczenko.

Kilka uwag nad nowym podręcznikiem do „Etyki katolickiej".

Wśród zarzutów, czynionych dzisiejszej młodzieży szkolnej, wyróżnia się jeden, spotykający wprawdzie jedną jej część tylko, t. j. młodzież chrześcijańską, ale bardzo ciężki i poważny. Zarzucają uczniom brak wiary, brak moralnych zasad i pojęć. I znowu gubią się ludzie w badaniu przyczyn złego, szukają jego źródła w złem wychowaniu, w złem towarzystwie, w czytaniu złych książek, dochodzą czasem nawet do takich absurdów, jak niedawno jedno z pism lwowskich, które w wykładach nauk przyrodniczych, w szerzeniu „darwinizmu" i w poważnem traktowaniu najważniejszych zagadnień przyrodniczych dopatrzyło się niebezpieczeństwa dla wiary i Kościoła. Ludzie ci widocznie nie chcą widzieć złego, kiedy go tak daleko szukają, nie chcą zbadać istotnego stanu rzeczy, kiedy się aż do takiego zabałamucenia posuwają!

Anormalne stosunki wśród społeczeństwa są zawsze wynikiem głębszych, trwalszych a nie przypadkowych przyczyn. Jeżeli młodzież chrześcijańska pozbawiona jest w większej swej części podstaw religijnych i etycznych, to nie dlatego, że ten lub ów otrzymał złe wychowanie w domu, ten lub ów wszedł w złe towarzystwa, ale z tej przyczyny przedewszystkiem, że jej tych podstaw w szkole dzisiejszej nie dano, a jeżeli je kto miał, to nie wzmacniano ich, lecz owszem osłabiano. Cały system nauki religii, cały sposób jej wykładania, odbywania ćwiczeń religijnych złożyły się tu razem na wytworzenie złego.

Brak przedewszystkiem odpowiednich podręczników. Mamy ich wprawdzie w gimnazyum aż 8, w szkole realnej 7, ale

mało który z nich spełnia swe zadanie. Tu omówimy w krótkości jeden z tych podręczników, mianowicie świeżo wyszłą „Etykę katolicką“ ks. Szczeklika. Już poprzednio używany podręcznik ks. Soleckiego spotykał się z dość ostrą krytyką, nawet ze strony samych księży. Katecheci gimnazyalni prawie zupełnie go nie używali, a jeden z nich wyraził się raz o nim nawet bardzo niepochlebnie, bo nazwał go wprost głupim. Nowy podręcznik nie o wiele odbiegł od dawnego. Z góry zastrzegam się, że w całości i dokładnie go nie znam, ale przeglądając go dość uważnie, znalazłem w nim parę rzeczy, zasługujących na jak najostrzejszą krytykę.

Oto kilka wyjątków.

„Pijaństwo (str. 49) jest skutkiem nadmiernego użycia napojów; jest grzechem ciężkim, gdy jest zupełne tak, że człowiek traci rozum, nie wie nic o świecie i nie jest w stanie swoich obowiązków wypełnić; jest grzechem lekkim, gdy oszołomienie rozumu nie dochodzi do tego stopnia“. Pytamy się teraz: Kto więcej grzeszy, czy robotnik albo chłop, który w niedzielę upija się aż do nieprzytomności, czy inteligentny urzędnik, który się uczył etyki i codziennie z zupełną świadomością oddaje się lekkiemu pijaństwu, codziennie ma t. zw. „rausza“?

„Dzieci, służący, (str. 64.) jako nie posiadający majątku, nie mogą dawać jałmużny bez zezwolenia rodziców i chlebodawców“. A więc służący, który z pobieranej pensyi coś sobie zaoszczędził, nie ma prawa, dobrowolnie, bez zapytania się swego pana, dać grosz ubogiemu? Czy też może autor przypuszcza, że służący są w ogóle tak licho płatni, że z swojej płacy nic nie mogą oszczędzić, chyba dopuszczając się nieuczciwości i kradzieży. Ciekawą jest również przyczyna, dla której służący nie mogą dawać jałmużny: mianowicie nieposiadanie majątku! W takim razie przepis ten odnieść należy nietylko do służących i dzieci, ale także do całego mnóstwa innych ludzi, majątku nie posiadających. Zadziwia nas także iście średniowieczne traktowanie stosunku pana do służących.

„Już Plato (str. 48) marzył o organizacyi państwa bez własności prywatnej, ale Arystoteles wykazał, że marzenia takie nie dadzą się urzeczywistnić. Później Manichejczycy i Albigenzi pragnęli wspólnego posiadania dóbr wszystkich. W wieku XIX komuniści i socyaliści, wielokrotnie potępieni przez Stolicę Apostolską, żądają upaństwowienia dóbr doczesnych a szczególniej fabryk i oddania rządów w ręce robotników. Zatopieni w zmysłowości, rezygnują oni z szczęśliwości pozagrobowej, byle tu na ziemi mogli używać; zaprzeczają istnienia Boga i duszy nieśmiertelnej, religię nibyto uważają za rzecz prywatną, która każdemu ma być pozostawiona do woli, a właściwie słyszeć nie chcą o niej, a zwłaszcza o religii objawionej. Jedni z nich chcą drogami legalnemi, inni gwałtem zmienić istniejący porządek rzeczy (anarchiści, nihiliści). Socyaliści chcą przyjść w pomoc klasom ubogim, robotnikom, zaprowadzić równowagę w posiadaniu dóbr doczesnych i rozwiązać t. zw. kwestyę socyalną, lecz tylko łudzą biednych robotników hasłami powabnemi, obiecując, że usuną biedę ze społeczeństwa i różnicę majątkową. Jakkolwiek w wielu wypadkach liberalni fabrykanci (kapitaliści) wyzyskują robotników, jakkolwiek niejeden z pomiędzy bogatych nie używa swego majątku według zasad Chrystusowych, to jednak najwyższe klasy w społeczeństwie ludzkiem nie mogą się zrównać z najniższemi“.

W tych kilku słowach autor załatwił się z prądami socyalnymi; traktując kwestyę zniesienia własności prywatnej jako spór między Platonem i Arystotelesem, rozwiązał ją jednym zamachem, przyznając zwycięstwo Arystotelesowi, potępiając i Platona i socyalistów, których stawia na równi z anarchistami i nihilistami. Nie odejmując zasług Arystotelesowi, musimy jednak stanowczo zaznaczyć, że słowa tego filozofa nie są bynajmniej rozstrzygające i nie mogą być w żadnym wypadku ostatniem słowem w kwestyi, która już w starożytności się wyłoniła i do dziś dnia nie przestaje interesować całej ludzkości, pomijając już to, że zasada zniesienia własności prywatnej była już raz urzeczywistniona w pierwotnym ustroju Słowian. W słowach tych rozwiązuje autor

także sprawę zrównania stanów, w ten sposób, że ona nigdy nastąpić nie może, że warstwy najwyższe z najniższemi w społeczeństwie nigdy zrównać się nie mogą! Słowa te, w ustach księdza, mającego głosić ewangelię Chrystusa, który wszystkich ludzi uważał za równych i prawdę tę uczynił jedną z głównych zasad swej nauki, są wprost oburzającem bluźnierstwem i wprost wierzyć się nie chce, iż chrześcijanin, ksiądz i człowiek żyjący w XIX. wieku mógł wypowiedzieć tak straszne, tak wsteczne i zacofane zapatrywanie!!

„Wcale nie są przysięgami (str. 79) wyrażenia: jak Boga kocham, sumiennie, jak mamę kocham, słowo honoru(!) gdyż w nich nie ma powołania się na Boga!“

Odnośnie do tego ustępu stwierdzić musimy fakt, iż tak słowo honoru w ustach szanującego swą godność człowieka, jak i słowa „jak mamę kocham“ wypowiedziane przez kochającego syna mają bardzo często daleko większe znaczenie i wiarygodność, niż urzędowa, oficyalna przysięga!

We wszystkich tych wywodach nie brak autorowi dowcipu, niewiem tylko, czy umyślnego, czyto mimowolnego, np. w przytoczonym wyżej ustępie: „socyaliści żądają upaństwowienia dóbr *doczesnych*.“ jakby było możliwe upaństwowienie dóbr *wiecznych*, albo to, że „*liberalni* fabrykanci wyzyskują robotników.“ Wprost zaś humorystycznie przedstawiają się następujące ustępy.

„O tańcach: (str. 67. słowa św. Franciszka Salezego). Bale i tańce są z natury swojej ni złe ni dobre, ale ze sposobu w jaki się odbywają, skłaniają się ku złemu, a temsamem są bardzo zdradne i niebezpieczne: rozpraszają ducha pobożności, osłabiają siły, ostudzają miłość Bożą, a tysiąc złych uczuć obudzają w duszy.“

„Od przekleństw (str. 93), należy odróżnić wyrazy nieprzyzwoite, których używają dzieci i ludzie (dzieci nie są ludźmi. Przyp. aut.) bez dobrego wychowania, by okazać *zniecierpliwienie!*“ „Nie są kłamstwem (str. 107) wyrażenia konwencyonalne np. „padam do nóg“ i bajki pouczające.“

„*W zasadzie* nie trzeba (str. 77.) przyjmować łatwowiernie opowiadań o czarach, gdyż te opowiadania nie mają *najczęściej* realnej podstawy.“ (Czasem zatem czary mają realną podstawę.)

Tych kilka uwag, wystarczy, zdaje się nam, do scharakteryzowania i tonu i kierunku całej książki, która stanowić ma „podręcznik“ etyki katolickiej, ma wyjaśniać i wpajać młodzieży szkolnej najważniejsze zasady etyczne, ma w niej wytworzyć pewien moralny poziom i charakter, a w rzeczywistości staje się źródłem niewiary i sceptycyzmu, zamiast zasad daje przepisy, od których zawsze znajdą się wyjątki, zamiast oświecać w wątpliwościach, stara się je zaciemnić, systematycznem ukrywaniem lub zbywaniem najważniejszych kwestyi społecznych, związanych z postępem i rozwojem umysłowym i moralnym całej ludzkości. Niech więc nie będzie dla nas dziwnem, że w młodzieży szkolnej dzisiejszej, kształconej takimi podręcznikami, wyrabia się lekceważenie religii, cynizm i szyderstwo z rzeczy, która zdała po za tem stać powinna t. j. z wiary, że wszyscy zdolniejsi i lepsi między młodzieżą na widok rażących sprzeczności z własnem poczuciem i logiką, zaczynają wątpić i szydzić, a u katechetów zyskują sobie nazwisko ateistów! Sprawdza się to, co już nieraz podnoszono, że szkoła dzisiejsza choć tak ściśle wyznaniowa, szerzy bezwyznaniowość.

Zresztą do tej kwestyi powrócimy jeszcze.

O młodzieży i do młodzieży.

Apatya, zniechęcenie do życia publicznego, zamykanie się w szrankach ciasnego egoizmu nie tylko wśród starszego społeczeństwa galicyjskiego, ale nawet wśród młodzieży, która do niedawna była jeszcze najzdrowszą częścią społeczeństwa, to zarzut dający się coraz częściej słyszeć wśród ludzi, którzy jeszcze nie ulegli tej strasznej degeneracyi. I niestety, nie ma się co łudzić: tak jest. I lepiej nam to przyznać, bo w takim tylko razie możliwą jest poprawa. Dziś prócz nie wielu wyjątków żaden prawie z młodzieży, która ma stworzyć w przyszłości tęgich obywateli jęczącego w niewoli narodu, nie myśli o niczem wyższem, nie sta-

wia sobie żadnych celów poza egoizm wykraczających, żadnych ideałów.

„Karyera“ — to słowo, które ma na ustach pierwszy lepszy niedorostek, lecz znaczenia wyrazu „idea“ nic rozumie z pewnością nie jeden nawet po zdaniu matury. Najwyższem ideałem u takich — to awans, dobra pensya, wysoka ranga, złoty kołnierz, protekcya, łapówka nawet. Wśród młodych rozszerzyło się służalstwo. nadskakiwanie profesorom, pochlebstwo, gorzej, bo szpiclostwo nawet. Ucznia, który się odezwie ze śmielszem zdaniem, odważy się wyrzec krytyczny pogląd na rządy, na klerykalizm (tak bardzo głęboko u nas zakorzeniony), na porządek społeczny, lub ludzi, stojących na wyższych stanowiskach (np. ganić politykę Koła polskiego) lub ludzi „lepiej urodzonych“, — zaraz się uważa za strasznego przewrotowca, anarchistę, burzyciela porządku i szczęścia (?) społecznego i t. p. — Rozszerzyło się więc i wśród młodzieży to, co w całem galicyjskiem społeczeństwie tkwi: Biurokratyczne tchórzostwo i służalstwo. Rozumie się że przyczyna złego tkwi poniekąd w samej młodzieży, bo złe ziarna mogą się przyjąć tylko na gruncie podatnym; ale wina leży przedewszystkiem po stronie tych, którzy te złe ziarna zasiewają: po stronie wychowawców młodzieży. Wszak już od najmłodszych lat zaszczepia się dziecku błogosławione zasady lojalności, klerykalizmu i t. p. w książeczkach dla szkół ludowych, w podręcznikach gimnazyalnych. To się ma nazywać b e z s t r o n n e m k s z t a ł c e n i e m. Dość spojrzeć na program nauki gimnazyalnej, by bez wahania wydać niezbity sąd, że tu nie chodzi o wykształcenie, ale przeciwnie o utrzymanie myśli w pewnym ciasnym zakresie; chodzi o zajęcie czasu gramatykami łacińskiemi i greckiemi, Bóg wie na co potrzebnemi, o zabicie zdolności kuciem reguł. Mało tego: trzeba czas jeszcze tak zająć, by uczniowi nie pozostawała ani chwilka do samodzielnego myślenia; w tym celu katecheta gimnazyalny (!) organizuje na gwałt musztry, by zawczasu wpajać w młodzież zamiłowanie do militaryzmu i zabaweczkamt błazeńsko-dziecinnemi nęcić niedoświadczonych. W ten sposób młode, chciwe wrażeń umysły, pragnące wylać swą energię w jakiemkolwiek działaniu, skrzywia wadliwy ustrój szkolny i nie pozwala kiełkować żadnej myśli wolnej, niezależnej.

Prócz tego zgniata się brutalnie u młodych wszelkie szlachetniejsze porywy, ściga się takich surowemi karami, szpiegostwo w gimnazyach (zwłaszcza prowincyonalnych) rozszerzone jest na wielką skalę, a uczniowie-szpicle są osłonięci boskiem skrzydłem protekcyi.

O patryotyzmie szczerym, z duszy płynącym, nawet mowy nie ma, chyba o operetkowym, gdzie chodzi głównie o wywyższenie siebie; na dowód, że tak jest przytoczę pewien fakt, który się zdarzył rok temu w gimnazyum IV. we Lwowie. Pewien profesor (którego nazwiska nie wymieniam z litości, na jaką wcale nie zasługuje) wypowiedział w jednej z najwyższych klas zdanie że „wszyscy nasi powstańcy byli łajdakami“. I mieliśmy tu w tym fakcie naraz dwa dowody: Podłości i bezczelności profesora, a z drugiej strony tchórzostwa, małoduszności i braku poczucia patryotycznego u młodzieży, gdyż z całej klasy nie podniósł się ani jeden głos protestu. Dodam nawiasem że profesor ten stara się zawsze wpajać w młodzież moskalofilskie zasady.

Taki to smutny stan młodzieży naszej. Tak dalej być nie może, bo inaczej biada nam w przyszłości!! biada naszej uciśnionej Ojczyźnie! Młodzież zdegenerowana musi się odrodzić. Wśród niej istnieją jeszcze jednostki potężne sercem i duchem. Te nie zasklepiają się w sobie; ich zadaniem będzie obudzić zgangrenowaną młodzież do życia solidarnego, którego celem jest święta idea wolności i patryotyzmu; ta śpiąca dotychczas wśród młodzieży u nas zabrzmieć powinna potężnym rozgłosem wśród ogółu naszej młodzieży. Niechże nasz „Promień“ będzie naprawdę promieniem, który rozdarł gęste, ołowiane chmury apatyi i zniechęcenia do ideałów, niech będzie zwiastunem wschodzącego słońca oświaty i wolności, które stopi zimną bez życia lodową bryłę zacofania i służalstwa i obudzi nas z długiego zimowego letargu a pchnie na drogę czynu!

Młodzieży nasza! Powstań jasna i czysta i pokaż swym wrogom, że nie zasługujesz na straszną nazwę „pomiotu arystokratycznej Targowicy“, ale na twem czole niech będzie wyryte „to synowie Racławic“! w nich nie zamarł jeszcze duch Filaretów! *J. R.*

Artykul ten, pochodzący ze sfer studenckich przedstawia nam stan młodzieży szkolnej w bardzo czarnych barwach, które niestety, przyznać musimy, nie są przesadzone. Świeżo zdarzyło się nam słyszeć następujące zdanie jednego z wychowanków galicyjskiej szkoły średniej. „Cóż wy myślicie, że uczniowie będą kupowali „Promień“. Przecież uczeń mając 15 ct. woli sobie kupić paczkę tytoniu, niż kupić sobie jakąś książkę lub gazetę a ducha dostatecznie w szkole mu kształcą (!)“. My odpowiemy na to tylko paru słowami. Stwierdzoną jest mianowicie rzeczą, że ci właśnie, którym często brak środków do życia, od ust odejmują sobie pokarm i grosz swój oddają na kształcenie, na książki, a ci tylko, którym się pieniądze przelewają, żałują ich na jakiś cel poważniejszy i obracają je na rzeczy marne i liche.

Przypisek Redakcyi.

Korrepetycye.

Między uczniami szkół średnich, znajdzie się wielu takich, których rodzina nie jest nieraz w możności pokrywać wszystkich wydatków, jakie za sobą pociąga nauka i którzy z tego powodu są zmuszeni żyć, o własnych siłach, lub przynajmniej przeważnie z własnych dochodów łożyć na swoje utrzymanie. Co więcej, ci uczniowie muszą jeszcze dopomagać swej rodzinie, jeżeli ta nie może się sama dostatecznie zaopatrzyć.

Skądżeż uczeń może mieć dochody? Oto sprzedaje on część swojej wiedzy innym młodszym uczniom i pomaga im w nauce. I za miesiąc takiej, cieżkiej nieraz pracy (nim się uda wepchać choć trochę reguł gramatycznych do ciasnych głów) otrzymuje korrepetytor przeciętnie 14 do 16 koron. Ażeby więc miał dochód wystarczający na utrzymanie, potrzebowałby co najmniej trzech lekcyi. A jakże trudno o jedną? Jak długo musi nieraz taki student prosić o korrepetycye profesorów, podawać ogłoszenia do sklepów i dzienników, nim nareszcie znajdzie się ktoś, potrzebujący korrepetytora. Taki uczeń zmuszonym jest nieraz z powodu braku funduszów zaprzestać nauki, wystąpić ze szkoły i szukać zajęcia, któreby mu pozwoliło „żyć“.

Mają wprawdzie i panowie profesorowie swoich ulubieńców, którym dają po kilka lekcyi naraz, nie bacząc na to, czy oni tego rzeczywiście potrzebują, tak, jak inni; czy dochód z tych lekcyi będzie obrócony na życie, czy na papierosy.

Z drugiej zaś strony nieraz zdarzało mi się rozmawiać z ludźmi starszymi, którzy nie mając znajomości w sferach studenckich skarzyli się, że nie mogą dostać dobrych korrepetytorów. Czasem trafiało się, iż obecny korrepetytor nie odpowiadał ich wymaganiom; chcąc dostać innego, udawali się przypuśćmy do gospodarzy klas, w których byli ich synowie. A w takim wypadku otrzymywali tę lekcyę, jak to już wyżej powiedziałem, tylko ulubieńcy panów profesorów. Za tem idzie, że taki korrepetytor mając kilka lekcyi, nie mógł wszystkim podołać, ani na każdą z osobna wiele poświęcić czasu. Stąd nowe niezadowolenie.

A tymczasem inni uczniowie, nie cieszący się protekcyą panów profesorów, albo nie mieli żadnej lekcyi, albo tylko jakąś bardzo lichą.

A gdybyśmy też poszli za przykładem innych ludzi i zawiązali komitet czy stowarzyszenie, któreby miało za cel pośredniczyć między uczniami, szukającymi lekcyi a ich pracodawcami.

Każdy uczeń mógłby się udać do tego, że tak powiem, „biura stręczeń“, z ufnością że tam nie będą się kierować żadnymi względami, lecz będą rozdzielać lekcye sprawiedliwie, tak, aby ich jeden nie miał za wiele, a drugi nic; — szukający zaś korrepetytorów mogliby mieć również pewność, że ich tam zawsze znajdą.

Takie stowarzyszenia nie są wcale nowością. Pominę zwykłe biura „wywiadowcze“, których w każdem mieście pełno; wszak wśród młodzieży szkół wyższych istnieją już dawno podobne związki n. p. „Komisya zarobkowa w Bratniej pomocy słuchaczów politechniki“.

Co więcej, nie potrzebaby nawet zakładać osobnego stowarzyszenia, ale po prostu w Redakcyi „Promienia“ mogłaby gdzieś w kąciku na półce leżeć niewielka książka, w którejby zapisywano zgłaszające się strony.

Gdyby istniało podobne towarzystwo, dające lekcye młodzieży szkolnej, ilużby to się biedakom dopomogło do życia i kształcenia się.

Daedalida.

Myśli tej, podanej przez jednego z uczniów szkół średnich, tylko przyklasnąć możemy

i postanowiliśmy ją odrazu w czyn wprowadzić. Otwieramy zatem w biurze Redakcyi „Promienia“ księgę zgłoszeń, w której zapisywać się mogą uczniowie potrzebujący lekcyi i osoby prywatne, szukające korrepetytorów, zawsze w godzinach urzędowych t. j. codziennie, z wyjątkiem soboty, od godz. pół do 3. do pół do 4. po południu. Równocześnie podajemy to za pośrednictwem gazet do wiadomości publicznej. *Redakcya.*

Głosy młodzieży szkolnej o „Promieniu“.

Wyrażając serdeczną wdzięczność wszystkim tym, którzy tak przychylnie przyjęli nasze pismo, czego dowodem są liczne listy, nadesłane do naszej Redakcyi, pochodzące wyłącznie ze sfer młodzieży szkolnej, w których młodzież wyraża nam swoje uznanie i sympatyę, uważamy za potrzebne przytoczyć tu prawie w całości jeden z listów, z którego widzimy, że nas nie zupełnie dobrze zrozumiano i dodać do niego kilka uwag i wyjaśnień, z których może skorzystają i inni czytelnicy, gdyby mieli podobne wątpliwości:

„...Grono kolegów upoważniło mię do napisania w ich imieniu niniejszego listu.

Nie wiem czy pragnęliśmy czego goręcej, jak pisma, któreby było szczerym przyjacielem młodzieży szkół średnich, zakątkiem, gdzie ta młodzież mogłaby swobodnie wypowiedzieć to „co na sercu leży, co w duszy nurtuje“. Czując już oddawna potrzebę takiego pisma, wydawaliśmy nawet w naszej klasie pisemko „uczniowskie“. Teraz jednak, gdy „Promień“ zabłysnął, ustępujemy rozradowani, że sprawę wzięli w swoje ręce ci, którzy pod każdym względem lepiej zadaniu sprostają. Ustępujemy po to, aby tem goręcej nowe pismo popierać, tem skuteczniej walczyć pod jego sztandarem i szersze odnosić zwycięstwa!

Lecz właśnie dlatego, że tak gorącymi jesteśmy zwolennikami „Promienia“, chcielibyśmy, aby on coraz mniej wad, a coraz więcej zalet posiadał, a po przeczytaniu pierwszego numeru, różne cisną się nam uwagi na usta. Korzystając więc z zaproszenia Redakcyi do dzielenia się z nią swymi poglądami i myślami — dziś kilka bodaj uwag wyrazimy.

Z programem wyrażonym w przedmowie, zgadzamy się zupełnie, lecz chcielibyśmy, aby „Promień“ ściśle go się trzymał; numer zaś pierwszy, w którym spodziewaliśmy się znaleźć program w czyn wprowadzony, zawiódł poniekąd nasze nadzieje.

Cele mają być ogólno ludzkie. Cele takie nie wykluczają zupełnie miłości Ojczyzny! Owszem. Jak miłość Ojczyzny nie wyklucza przywiązania do miejsca rodzinnego, tak cele ogólno ludzkie nie wykluczają patryotyzmu. I tak, jak człowiek, pracujący około dobrobytu rodzinnego miasta, całej przysłuża się Ojczyźnie, tak my, dla ojczystego kraju pracując — spełniamy swe ogólno-ludzkie ideały.“

Najzupełniej się z tem zgadzamy i według tego właśnie programu zamierzamy pracować. Zadaniem naszem jest rozbudzać miłość i pracować dla tego, co nam najbliższe: dla rodziny swojej, dla rodaków swoich, a tem samem dla wszystkich ludzi.

Dalej czytamy:

„Lecz tak samo jak każdy obywatel rozumie, że o dodatnicj pracy dla ojczystego kraju można mówić wtedy tylko, gdy wszystkich rodaków wiąże zgoda i poczucie wspólności celów“ (czy kolega uważa, że w innym wypadku nie można pracować, — w takim razie nigdy — byśmy się nie doczekali stosownej chwili do pracy), — „tak i my“ (wszakżeśmy i my obywatelami — nie prawdaż?) „dla wszystkich pracując, z wszystkimi w węzły miłości i zgody wiązać się powinni. Każdego szlachetnego i uczciwego bez względu na jego narodowość lub stan, powinniśmy czcić i szanować — każdego złego potępiać. Lecz nigdy nie możemy się kierować chęcią zemsty i nienawiścią do całych narodów (słusznie).

A gdy „Promień“ powiada w pierwszym numerze swoim, żeśmy powinni odemścić krzywdy przez inne narody nam wyrządzone(??), wrogów pognębić, orężem Ojczyznę odbudować, — to stoi poniekąd ze swoim programem w sprzeczności. Nie walki, nie krwi nam potrzeba, lecz oświaty! Nie orężem, lecz pracą, nauką, ekonomicznym rozwojem mamy zająć wśród innych narodów dominujące stanowisko. I nie odbudowanie Ojczyzny oświecić nam lud pozwoli, lecz oświata ludu i socyalizm Ojczyznę nam odbuduje. Dlatego nie możemy się cieszyć, jak ów Szurski z „Krwawych zapasów“, — gdy

spostrzeżemy błysk nienawiści i zemsty w oczach dziecka...

„A słońce prawdy......

. . . .

Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.“

Otóż nie wiem, gdzie kolega znalazł w „Promieniu“ o nienawiści do ludów, o zemście, — myśmy tego, pomimo bardzo ścisłego oglądania całego numeru, nigdzie dostrzedz nie mogli. Chyba w „Krwawych zapasach“, ale i tam się nie mówi wyraźnie o nienawiści względem narodu. Zresztą obrazek ten nie jest przecie artykułem, tylko obrazkiem historycznym, przedstawiającym wypadki i ludzi takimi, jakimi byli istotnie i sądzę, że gdybyśmy napisali coś o królu Olbrachcie — to nie znaczyłoby jeszcze, żeśmy powinni pałać do Wołochów nienawiścią za to, że ich hospodar przed X laty kazał praojców naszych do pługów zaprządz i orać nimi.

Po za tem jednem przypuszczeniem nie znaleźliśmy w „Promieniu“ nic, coby mówiło o zemście nad całymi narodami. Dużoby w tej kwestyi mówić wypadło, gdyby chcieć ją ostatecznie wyjaśnić, ale powiemy tu w krótkich słowach, że żaden rozsądny, mniej więcej wykształcony człowiek nie może nawet przypuścić w sobie nienawiści względem całej masy, całego narodu. Może on nienawidzić, a raczej starać się obalić nieprawy rząd, wypędzać najeźdźców za granice swego kraju, ale przecie takimi czynami nie kieruje chyba specyalna jakaś nienawiść, tylko zupełnie słuszne uczucie samoobrony. I pewien jestem, że gdyby n. p. Moskale, którzy nieprawnie zabrali część naszego kraju, opuścili go — nie byłoby w całej Polsce ani jednego głosu, któryby się z niechęcią o nich odezwał, nie byłoby człowieka, któryby się chciał mścić na nich za dawne krzywdy. Byłoby to w najwyższym stopniu niesprawiedliwem. Ale póki nas dręczą, póki kajdany wpijają się w ciało nasze, powinniśmy protestować, a przy sposobności — wypędzić!

Z ustępem: „I nie odbudowanie Ojczyzny oświecić nam lud pozwoli i t. d,“ nie zupełnie się zgadzamy.

Odbudowanie Ojczyzny stawiamy na pierwszym planie. Dlaczego? Dlatego naprzód, że miłość Ojczyzny, miłość tego, co nam najbliższe, co swojską nutą drga — jest uczuciem wrodzonem u każdego człowieka, jak miłość rodziny, ojca, matki... Miłość ta w Polaku jest rozwinięta silniej niż w innych narodach, czego dowodem są tak liczne i bezprzykładne poświęcenia rodaków naszych dla sprawy ojczystej, a nawet choroba, zwana nostalgią, która zabijała setki wygnańców naszych, a która jest nie czem innem, jak bezmierną tęsknotą do rodzinnego kraju. Więc naprzód powoduje nami naturalne uczucie. Powtóre wiadomem jest, że Polska była zawsze demokratyczną — była republiką (tu może ktoś zrobi zarzut, jaki słyszeliśmy już nieraz, że była szlachecką nie demokratyczną, ale nie trzeba zapominać, że Polska przestała istnieć w końcu XVIII wieku, kiedy jeszcze pojęcie o równości wszystkich ludzi było słabe — w zarodku), pojęcie o równości było w niej wyższe niż w innych państwach europejskich, nawet niektórych w obecnej chwili.

Polska odbudowana nie mogłaby być monarchią, tylko „rzecząpospolitą“ w całem znaczeniu tego słowa, więc czyśmy nie powinni marzyć o jej odbudowaniu? Czy n. p. w Rosyi można mówić o oświacie ludu wtedy, gdy pojęcie o konieczności absolutnej władzy tak jest zakorzenione, takich ma gorących zwolenników w zgrajach, w całych chmarach popów i biurokracyi, a także w ciemnych masach ludu, że wieki całe usilnej pracy nie potrafią może wykorzenić tych dzikich pojęć — tymczasem część Polski pod zaborem rosyjskim jest nawskróś demokratyczna, a Moskale z całą usilnością zalewają ją powodzią praw wyjątkowych, popów, urzędników, — miliony ciskają w nią, by tylko wynarodowić, zgnębić wszystko co polskie, co wolnomyślne. I gdybyśmy nie protestowali — możeby zapomniano już w tym krajn, że Polska kiedykolwiekbądź istniała. Potrzebny więc nam protest, a czy ma być oręźny, czy też w pióro lub słowo żywe zbrojny, to rzecz upodobania i warunków; a kto choćby ze słyszenia zna stosunki w Rosyi, ten wie, że tam przeciw bezprawiom rządu możliwym jest tylko protest oręźny, tylko opór siłą.

Co do ostatniego punktu w liście, gdzie się porusza kwestye Rusinów i żydów — wcale nie myślimy ich ignorować; przeciwnie jak się czytelnicy przekonają z następnych numerów, żywimy uczucia bratnie dla wszystkich ludzi, o ile nie są hakatystami, moskalofilami, lub żandarmami rosyjskimi, ponieważ ci są wrogami narodu naszego.

W końcu musimy prosić naszych czytelników, aby byli dla nas względnymi i nie żądali od nas odrazu wszystkiego. Pismo nasze zaledwo powstało, potrzebuje wiele pracy, wiele zachodu i wiele funduszów, aby się mogło rozwijać i stanąć kiedyś na wyżynie, na jakiejbyśmy je widzieć chcieli.

Uwagi nad 1. numerem „Promienia“.

Napisał Rusin-gimnazyalista.

Już samo pojawienie się pisma, które chce dać młodzieży „zakątek, gdzieby można myśleć i mówić zdala od mrożącej, sztywnej powagi profesorów“, jest nader sympatyczne dla wszystkich kolegów, którym system *ogłupiania* w szkołach średnich nie odebrał zupełnie swobody myśli.

Artykuł wstępny p. t. „Od redakcyi“ przemawia swą szczerością do serca każdemu. Tylko wobec tego, że nam zawsze kneblują usta, a każdą myśl wolniejszą uważają za występek, chciałbym dodać kilka swych uwag.

Szanowna Redakcya „Promienia“ prosi uczniów szkół średnich „o korespondencye, o komunikowanie jej swych poglądów na zajmujące ich sprawy, wreszcie o próby literackie; ja zaś wezwać muszę kolegów, by z wysyłaniem korespondencyi etc. postępowali nader ostrożnie, gdyż według § 27. Przepisów szkolnych dla szkół średnich w Galicyi“ „nie wolno żadnemu uczniowi ogłaszać drukiem własnych prac literackich bez zezwolenia dyrektora“, a zdaje mi się, że nikt z kolegów nie będzie tak naiwnym, by ze swym artykułem szedł do dyrektora z prośbą o pozwolenie wydrukowania go.

Co więcej jestem tego zdania, że dyrekcye naszych szkół średnich oficyalnie zakażą uczniom prrnumerować „Promień“. Gdzieżby oni tolerowali pismo, pragnące usunąć „tę kwarantannę myśli“, która niestety aż nadto potężną jest w naszych szkołach średnich i nie zaraz da się usunąć. Niech więc z prenumerowaniem „Promienia“ postępują koledzy ostrożnie, gdyż nasze dyrekcye pewnie zaliczą „Promień“ do pism, których dążność skierowana jest przeciw religii, moralności lub państwu (Przepisy § 23), a za czytanie lub rozpowszechnianie takich pism według § 33 5. c. „Przepisów“ czeka ucznia wykluczenie z zakładu.

Artykuł p. t. „O potrzebie organizowania się młodzieży“ ma wielką racyę, myli się tylko autor artykułu, spodziewając się, że praca w stowarzyszeniach uczniowskich w tym duchu, w jakim On ją pojmuje „powinna się spotkać z uznaniem nauczycieli“. § 26 Przepisów mówi: „Uczniom szkół średnich nie wolno tworzyć stowarzyszeń między sobą i nosić jakichkolwiek odznak. Wszelkie zgromadzenia uczniów w celu kształcenia się lub w celach zabawy mogą odbywać się tylko za zezwoleniem i pod nadzorem grona nauczycielskiego. Wykroczenie przeciw tym przepisom pociąga za sobą wydalenie ze szkoły“. Żeby znowu grono nauczycielskie, które uczniów uważa nie za ludzi, tylko za „ryby bez głosu“, chętnem okiem patrzało na rozwój stowarzyszenia uczniowskiego działającego w duchu artykułu p. t. „Od Redakcyi“ o tem bardzo wątpię. Wszak niedawno wydalono z drohobyckiego gimnazyum trzech kolegów Rusinów „za czytanie ateistyczno-radykalnych książek i za próbę zawiązania stowarzyszenia uczniowskiego w tym duchu: Że te „ateistyczno-radykalne książki“ były to dzieła pod względem *naukowym* zgodne z odpowiednim ustępem artykułu p. t. „od Redakcyi“ a różniące się od niego tylko tem, że były po rusku pisane i dla Rusinów przeznaczone, o tem chyba ani szanowna Redakcya „Promienia“ ani nikt z jej zwolenników wątpić nie będzie. Postępujcie więc, kochani koledzy, ze stowarzyszeniami bardzo ostrożnie!

Wierszy takich, jak pomieszczony w „Promieniu“ wiersz M. Konopnickiej, trzeba nam jak najwięcej. Zupełnie podzielam zdanie znajdujące się przy końcu artykułu p. t. „W rocznicę powstania styczniowego“, napisane zwracającemi na się uwagę literami: „Tylko wtedy naród polski może zdobyć sobie wolność i niepodległość...“ i t. d. Każdy kolega przyklasnąć tylko może zdaniu, by w sprawach reformy szkół pytano się też uczniów o ich zapatrywanie (p. artykuł pt. „Ze spraw szkolnych“.)

Zastrzegam się by mnie nie posądzano, że swemi przestrogami zlać chcę zimną wodą kolegów czytelników „Promienia“. Owszem, z serca radzę kolegom — Polakom, by czytali to pismo, gdyż znajdą w niem o wiele

więcej *prawdziwej* nauki i *prawdziwego* patryotyzmu, jak w urzędowym „Przyjacielu młodzieży.“

Lecz oprócz młodzieży polskiej jest w szkołach średnich także *młodzież ruska*. Będąc jej członkiem, uważam za stosowne zapytać się Szanownej Redakcyi „Promienia“, czy i my, Rusini mamy uważać „Promień“ za swój organ, gdyż Szanowna Redakcya, zwracając się w 1. numerze „Promienia“ tylko do młodzieży polskiej nie powiedziała tego, tytuł zaś pisma „Promień“, pismo poświęcone sprawom młodzieży szkolnej, domyślać się każe, że Szanowna Redakcya na myśli ma także szkolną młodzież ruską. Wobec tego, że Rusini podobnego pisma nie mają, chciałbym ja, by „Promień“ był też naszym organem, by obznajamiał kolegów Polaków ze stosunkami ruskimi, z ruską literaturą, nauką, z dążeniami postępowych Rusinów.

Powiedziawszy prawdę, stosunki między szkolną młodzieżą polską,a ruską są czasem zanadto naprężone. Wynika to po części z *szowinistycznego* wychowania młodzieży polskiej, które każe jej uważać kolegów Rusinów za rasę niższą, godną pogardy, które każe im gardzić „chłopskim“ językiem Rusinów, etc. Z drugiej strony winna temu nieznajomość *stosunków ruskich i ruskiej literatury* u kolegów Polaków. My, Rusini, chcąc czy nie chcąc musimy dobrze znać literaturę polską, gdyż jesteśmy zmuszeni uczyć się w gimnazyach po polsku, lecz koledzy Polacy nie uważają za stosowne zapisywać się na *nadobowiązkowe* lekcye języka ruskiego, by choć w części poznać naszą literaturę.

Taki stan szkodzi i Polakom i Rusinom. Pierwsi z pogardą odnoszą się do drugich, drudzy odpłacają pierwszym z konieczności nienawiścią. Jaka młodzież, tacy z nich będą później patryoci. Polacy gnębią Rusinów, Rusini muszą ujadać na Polaków. Takiemu stanowi rzeczy powinien zapobiedz postępowy — o ile wnoszę — „Promień“ Zaznajamianiem Polaków z ruską literaturą, zdążeniami postępowych Rusinów, pokazywaniem młodzieży polskiej i ruskiej ideałów wszechludzkich, powinien on wychowywać ludzi, którzyby zaprzestali. do niczego nie prowadzących swarów narodowościowych, a pracowali nad tem, by przywrócić niepodległość narodowi swemu, którychby idealem było: dla Polaków niepodległa demokratyczna Polska w granicach etnograficznych, dla Rusinów w takich samych granicach *niepodległa, demokratyczna Ruś-Ukraina!*

Koledzy Polacy i Rusini! zaprzestańmy bezowocnych sporów narodowościowych, zostawmy je klerykalnej i szowinistycznej arystokracyi, my zaś, oparłszy się na wszechludzkich ideałach braterstwa, wolności i równości walczmy pod hasłem: „Za naszą wolność i waszą“, by zbliżył się czas, w którym Polska i Ruś-Ukraina odzyskają swą polityczną niepodległość!

W St. 19 lutego 1899.

Odpowiadając na niektóre kwestye w tym artykule poruszone, zaznaczamy, że obcą nam jest wszelka chęć polonizowania Rusinów. Uznając samodzielność i odrębność narodową Rusinów, uznając w zupełności potrzebę *samodzielnego rozwoju narodu ruskiego*, pragniemy jednak, aby pismo nasze, po polsku wydawane, a więc dla polskiej młodzieży przedewszystkiem przeznaczone, zjednoczyło w sobie także młodzież szkolną ruską. W dążeniu do polepszenia dzisiejszych stosunków szkolnych złączyć się powinni i Polacy i Rusini, a wyrazem tych wspólnych dążeń, powinien stać się „Promień“ którego drugi numer, zdaje się nam, dość dobitnie zaznacza stosnuek pisma naszego do Rusinów.

Co się tyczy obawy przed profesorami i ostrożności w prenumerowaniu „Promienia“ to sądzimy, że jest ona zbyteczną. Pismo nasze wydawane jest zupełnie *legalnie*, za wiedzą władz policyjnych, a zatem „ani religii, ani moralności lub państwu się nie sprzeciwia“. Wykluczenia zatem za prenumerowanie „Promienia“ nie potrzebują się koledzy obawiać, co najwyżej prześladowania ze strony profesorów, a na to zdaniem naszem, każdy umysł samodzielniejszy i wyłamujący się z pod ciasnych więzów powinien być przygotowany.

Do innych kwestyi w artykule powyższym poruszonych, powrócimy jeszcze.

(Przyp. Red.)

Kupowałem raz książki u Köhlera i tam zawinięto mi je w zapisany papier. Oto co przeczytałem:

§. 6. Przepisów szkolnych.

tragedya w 3 aktach.

OSOBY.

Atanazy Beszta1ski, dyrektor gimnazyum.
Cyryl Gryzmolicz, profesor matematyki.
Marcypan Abraham, uczeń celujący.
Ciapciowicz, uczeń niekoniecznie celujący.
Onufry Łyk, tercyan stary.
Uczniowie kl. VII.

Rzecz dzieje się w klasie VII. w czasie godziny Gryzmolicza.

Akt I. — Scena I.

Gryzmolicz: *(wchodzi do klasy melancholijnie podskakującym krokiem, kładzie duży, zielony, pilśniowy kapelusz z szerokiemi kresami na krajuszku katedry, zdejmuje paltot i zwinąwszy podszewkę starannie do środka, wiesza go na szaragach. Potem patrzy chwilę na klasę, chrząka, patrzy na zegarek, znowu chrząka i zmarszczywszy się pyta głośno:)*

Kto nieobecny?

(Uczniowie skrajni w ławkach kolejno wstając).

Uczniowie: Wszyscy..... wszyscy..... wszyscy.

Gryzmolicz (*głośno*) Dobrze. (*Pisze w dzienniku szkolnym*). (*p. k. m.*) Więc my mieliśmy na dzisiaj zadane... o ile sobie przypominam... ten (*gniewnie*) no! gadajcież, co ja sobie przypominam (*poprawiając*) t. j. chciałem powiedzieć, co jest zadane?

Marcypan. (*wstaje*) E pan prhofesor wczoraj mówił o logarytmach, a potem, że, jakby się ludzie byli lepiej uczyli matematyki, nu toby terhaz nie było na świecie samych osłów.

Gryzmolicz No, no! już wiem! I powtarzam wam to jeszcze raz, że jak wam to już wczoraj powiedziałem, na świecie są teraz....

Besztalski *(wchodzi z łoskotem, trzymając w rękach mały notes z dużym ołówkiem. Klasa wstaje i siada. Dyrektor dopiero na środku klasy zdejmuje kapelusz i mówi bardzo głośno i tajemniczo:)*

Moje uszanowanie pana profesora.

Gryzmolicz *(zrywa się z rezygnacyą z za katedry aż za gradus i mówi bardzo cicho i słodko:)*

Uniżony sługa pana dyrektora dobrodzieja.

(*Przez czas następnej roznowy stoi zwrócony twarzą ku dyrektorowi i pochylony ku niemu i kiwa głową illustrując słowa Besztalskiego, to twierdząco, to smutnie, to z oburzeniem).*

Besztalski: (*rzuciwszy pełne oburzenia spojrzenie na klasę mówi grobowym głosem:)*

Czy jest tu Ciapciowicz?

Ciapciowicz *(zrywa się z ławki, strąca książkę, podnosi ją, strąca drugą, wreszcie kopie nogą silnie sąsiada — kolegę, tak iż ten skoczył na ławce i mówi szybko po cichu:)*

Podpowiadaj! (*głośno*) J... jestem prosz pana derektora.

Besztalski (*j. w.*) Słuchajno! czy ty wiesz, jakie są przepisy szkolne błaźnie jakiś?

Ciapciowicz (*kopiąc sąsiada*) Ji... wiem prosz pana derektora.

Besztalski. Wiesz? No! no! dobrze! (*coraz głośniej i prędzej*). Będziemy widzieli, jak ty na tem wyjdziesz. No, i jeszcze mi tu błazen gada, że on zna przepisy. Czekaj! czekaj! Ja cię nauczę przepisów i grzeczności, błaźnie jakiś! bałwanie bez wychowania. Będziesz ty miał ładne obyczaje, będziesz płacił dydaktrum. To każdy ulicznik lepiej się zachowuje. Co to wy sobie myślicie, błazny jakieś!

(*Ciapciowicz ma minę dziecka pięcioletniego, które zaprowadzili do fabryki motorów elektrycznych).*

(Dyrektor zapisuje coś w notatce dużym ołówkiem: cała klasa ma poważne i smutne miny).

Ciapciowicz *(po chwili)* I... ta ja nic nie zrobił, prosz...

Besztalski (*przerywając*). Nic nic zrobił? *(Obracając się do profesora, który się kłania ruszając lekko ramionami i kiwając przecząco głową).* Nic nie zrobił! No, proszę pana (*Profesor się kłania). (Do Ciapciowicza).* I ty śmiesz jeszcze, błaźnie, mnie mówić, żeś nic nie zrobił, kiedy ja mówię, żeś zrobił. Wiesz już teraz, żeś zrobił? Błaźnie jakiś!

Ciapciowicz *(robi minę t. zw. przyjemną)* Ale...

Besztalski (*co raz głośniej*) Milcz! Błaźnie jeden! Co ty sobie myślisz, że ja przyszedłem tu na rozhowory z tobą, błaźnie jakiś! Jak ja milczę, (*poprawiając się*), chciałem powiedzieć, jak ja mówię, to ty masz milczeć! Rozumiesz?

Gryzmolicz (*rusza ledziutko ramionami i mówi słodziutko i bardzo cicho:*) A można spytać o co rzecz chodzi?

Besztalski: Jakto? Pan profesor nie wie? Błaźnie jakiś! Ach! przepraszam; widzi pan profesor, przez takiego smarkacza jednego z drugim, to człowiek już i nie wie... doprawdy... no! cóżem chciał powiedzieć? Aha! Nie wie, co chce powiedzieć. Niech sobie pan profesor wyobrazi, idę wczoraj wieczorem ulicą i widzę, jak przedemną idzie ten błazen Ciapciowicz. (*Ciapciowicz ma minę przypominającego sobie i nie mogącego sobie nic przypomnieć*). A naprzeciw idzie pan profesor Dzieliński, ten, który wczoraj w południe przyjechał do naszego gimnazyum w charakterze pomocnika nauczyciela; otóż pan Dzieliński idzie a ten błazen mu się nie kłania (*do Ciapciowicza, który zrobił bardzo szerokie oczy*). To jeżeli ja, człowiek starszy rangą, od pana profesora Dzielińskiego mogę mu się kłaniać, to ty, uczeń VII. kl. nie możesz? Czekaj! Czekaj! Nauczę ja cię uszanowania. Cóż wy chcecie, żebym ja takim smarkaczom, jak wy, pana profesora przedstawiał? Ja wam pokażę, co to znaczy uszanowanie! I ten mi gada, że on zna przepisy! Tam masz wyraźnie napisane w §. 6., że wszystkim profesorom tak w szkole, jak i na ulicy, ma się okazywać winne uszanowanie, w szkole przez powstanie, na ulicy ukłonem. Ja was nauczę.

Scena III.

Łyk: (*wchodzi niosąc pod pachą dużą książkę do notowania rozporządzeń, kłania się osobno dyrektorowi, osobno profesorowi i podając temu ostatniemu książkę, mówi po cichu*).

Święto według obrządku gr. kat.

Gryzmolicz: (*czyta*) Jutro t. j. dnia 6. kwietnia 1898 nie będzie lekcyi szkolnych z powodu uroczystego święta według obrządku gr. kat. W dniu tym będą uczniowie mogli wziąść udział w oglądaniu menażeryi, zawierającej bardzo ładne okazy zwierząt, z których kilka jest żywych. Wstęp dla uczniów 5 ct.

(*Łyk odbiera książkę, kłania się osobno dyrektorowi, osobno profesorowi i odchodzi, poczem za drzwiami już będąc kicha*).

Besztalski (*który poprzednio stał bardzo poważnie, mówi do Ciapciowicza:*) A ty będziesz jutro miał tutaj menażeryę, będziesz siedział w karcerze, a ja albo pan profesor (*Gryzmolicz się kłania*) będziemy tu od czasu do czasu przychodzić, żebyś darmo nie siedział, tylko się uczył. Padam do nóg pana profesora. (*Podaje Gryzmoliczowi dwa palce, które ten chwyta dwiema rękami i wśród ukłonów wyprowadza go za drzwi*).

Zasłona spada.

Dalszych aktów nie było.

* * *

Jednem słowem, w jakiejkolwiek bądź formie stawiam pytanie: Czy się należy i czy się ma obowiązek, kłaniać się profesorom, których się wcale nie zna, ani też się wie, czy oni są w ogóle profesorami? — A stawiam je dlatego, że nieraz słyszałem, jak profesorowie wyrzucali uczniom ten karygodny występek, iż się nie kłaniają profesorom na ulicy. We wszystkich zaś tych wypadkach, o których wiem, uczniowie ci nie wiedzieli nawet o istnieniu tych profesorów.

Może kto z kolegów odpowie na to pytanie, to niech z tej odpowiedzi utworzy akt drugi i trzeci. *Daedalida.*

W krwawych zapasach.

(Opowiadanie z dziejów powstania 1863 r.).

(Dokończenie).

Z szeregu wystąpił młodzieniec, z którym rozmawiał niedawno pułkownik i trzymając dłoń przy skroni, słuchał rozkazu.

„Zostaniesz w pięćdziesiąt ludzi tu przy ogniach, które będziesz podsycał. Gdy wróg nastąpi, przyjąć go ostro i nie ustępować pozycyi!“

„Wedle rozkazu!“

Ani jeden muskuł nie drgnął na młodej twarzy syna, słyszącego rozkaz ojca, równający się wyrokowi śmierci. Zwrócił się do szeregu:

„Pierwszy szwadron, za mną!“ Część ludzi oderwała się od oddziału i posunęli za młodym wodzem, który umieścił ich, ukrywając ile możności w kilku wysuniętych naprzód, rozwalonych chałupach, mając broń

w pogotowiu; kilku zaś ludzi poczęło biegać od ogniska do ogniska, dorzucając wszędzie suchych drewek.

Tymczasem stary Szurski wyprowadził cicho pozostałych ludzi z obozu i zniknął w ciemności.

Oparty o ścianę chaty ze spalonym dachem stał młody Szurski. Oczy jego z największą uwagą wpatrywały się w pokryte całunem nocy gąszcze. Słuch próżno wytężał: najmniejszy szelest nie dochodził go z tamtej strony, tylko obok trzaskało, sypiąc iskrami ognisko a wydłużone cienie poruszały się zgodnie z ruchem płomieni, jak żywe; drgały i w fantastycznych skokach, kołysały się i pełzały, to po zżółkłych liściach, to po zwaliskach i otaczających przedmiotach, ożywiając je i tworząc jakiś ponury a tajemniczy obraz. Zdawało się — jacyś tajemniczy ludzie, czy mary przesuwały się w powietrzu i w gąszczach, powiewały czarnemi płachtami, szeptały coś, pochylając się i wyciągając długie straszne ramiona przed siebie. Jakaś przerażająca cisza zawisła przez chwilę w powietrzu.

Stał, wbiwszy smętną źrenicę w ciemności i dumał... Myślą uleciał daleko od tych bitew i mordów, cierpień i bolu... I oto przed oczyma jego poczęły się przesuwać jakieś piękne zamglone obrazy. Były to obrazy minionych szczęśliwych czasów. Ot widzi jak na jawie schludny dworek szlachecki, otoczony topolami, ogród pełen kwiatów i owoców, matkę-staruszkę... Ot idzie bydełko z pola; pastuszek smętnie wygrywa na fujarce... Tęskna piosnka płynie po rosie, a jego taka żałość porywa, że się łzy mimowoli cisną do oczu. Znów inny obraz: siedzi on na ganku. Słońce, w purpurowej szacie monarchy świata, ostatnim uśmiechem żegna przyrodę; miły wiaterek muska łagodnie po twarzy... A on utopił swe źrenice pełne miłości bez granic w czystych, błękitnych a głębokich jak toń morska oczach Józi, wychowanicy jego rodziców, sieroty czystej, jak lilia, pięknej, jak zorza poranna, dobrej, jak tylko aniołowie być mogą — a tkliwej przytem, jak harfa pieśniarza, a miłej... Czyż takiej nie kochać?... On całuje jej ręce, a ona spłoniona cała wpina mu w klapę czamary kwiatek polny i szepce słodko:

„Idź — my się za ciebie modlić będziem"... i łzy głos jej tamują. „My się za ciebie modlić będziem"... powtarza Jan w zamyśleniu. Czy modlą się w tej chwili ona i matka staruszka za niego, czy się spodziewają, że śmierć nad głową mu wisi?... Tu mu przychodzi na myśl ojciec. Cóż on zrobił? Czemu nie został, by razem zginąć, albo mu nie pozwolił razem uchodzić? Czy poświęcił syna i garść żołnierzy, by uratować resztę oddziału? Ależ nic uratuje go: przecie Stanisław dziś rano przyniósł wieści, że cała dywizya nieprzyjacielska podzielona na mniejsze oddziały idzie od zachodu i przemknąć się niepodobna. Zresztą on w pięćdziesiąt ludzi nie wstrzyma tak długo wrogów na sobie, więc ich jazda, mająca świeże konie, z łatwością dopędzi znęczony oddział ojca... Wszystkie te myśli, ciężkie jak uderzenia młota, przesuwały się jedna po drugiej w jego zmęczonej głowie. Jakiś tępy, nieograniczony ból przejął mu serce. Czuł żal do ojca i pierwszy raz w życiu zwątpił o jego strategicznych zdolnościach, w które dotąd tak ślepo wierzył i tak uwielbiał.

Wtem zaszeleściło coś w gąszczu; jakaś ciemna postać oddzieliła się od czarnej masy krzaków i poczęła szybko biedz ku Janowi. Jan zcicha gwizdnął — postać odpowiedziała mu tem samem.

„To ty, Stanisławie?" spytał półgłosem, gdy człowiek stanął tuż przy nim.

„Ja. Moskale półkolem nas otaczają, chcą nas wziąść do niewoli. Byłem o kilkanaście kroków przed nimi: sama piechota — nie widziałem jazdy"...

„Czy ognie nasze stamtąd widoczne?"

„Widać doskonale; oni się teraz zatrzymali na pagórku".

„Dobrze. Przygasić ogniska! Niech myślą, żeśmy się pospali" — zwrócił się Jan do stojącego obok towarzysza i ruszył sam między żołnierzy. Wszyscy byli gotowi; każdy obrał sobie miejsce, najlepiej go od kul zasłaniające .Przy każdym prawie oprócz trzymanego w ręku leżał u nóg nabity karabin, zdobycz na Moskalach: każdy miał rewolwer lub pistolety.

Cisza zaległa w obozie, który się zdawał być w śnie głębokim pogrążony. Dogasające ogniska syczały jeszcze i kurzyły się gdzie nie gdzie. W paru miejscach tylko słychać było, jak senny głos jakiś śpiewał zcicha żołnierską piosenkę, co nakazał umyślnie Jan, by tem łatwiej w błąd wprowadzić nieprzyjaciela, który będzie myślał, że oddział nie-

tylko jest w komplecie, ale śpi spokojnie i nie spodziewa się napadu.

Tymczasem wszyscy, dech zapierając w piersi, z bronią gotową do strzału, wytężali słuch, ale gąszcze były ciche jak grób, tylko czasem wiatr smętnie zaszumiał ogołoconemi z liści gałązkami i znowu cichło wszystko. A cisza była jakaś ponura, aż dzwoniła w uszach, i żołnierze rozmawiający szeptem słyszeli wyraźnie bicie serc własnych.

Minęła godzina. Długa noc jesienna zbliżała się ku końcowi. Na wschodzie ukazywać się począł pierwszy odblask świtu.

Wtem do uszu czatujących żołnierzy począł dochodzić jakiś niewyraźny z początku, potem coraz wyraźniejszy chrzest, jakby stąpającej ostrożnie masy nóg ludzkich.

Serca zabiły mocniej, ręce silniej ścisnęły broń.

Z czaharów, jak widmo jakie, poczęła się wysuwać jakaś ciemna masa i rozległ się w ciemności głos warty:

„Kto idzie?“

„Ura!“ odpowiedziały dzikie okrzyki; wstążka ognia krwawą kresą przebiegła jak błyskawica po ciemnem tle nieprzyjacielskich szeregów. Huknęło kilkaset strzałów, kule zagwizdały w powietrzu....

Ale mocne było zdziwienie wrogów, gdy z za rumowisk ozwał się spokojny i donośny głos:

„Ognia!“

Zagrzmiało kilkadziesiąt celnych strzałów; pierwsze szeregi nieprzyjacielskie, nie spodziewając się takiego przyjęcia, porażone celnemi kulami strzelców, złamały się, zmięszały, a po nad gwar i wrzawę wyrosła, jakby nieludzką piersią powtórzona komenda: „Ognia!“

Znów kilkadziesiąt kul wbiło się w przerażony niespodziewanym oporem tłum. Zakotłowało się; szybkie strzały pomięszane z urywaną, ginącą w ogromnym wrzasku komendą zlały się w okropny ryk jakiś i cała bezładna masa cofnęła się szybko napowrót w krzaki. Chwilę gęste dymy, widoczne pomimo ciemności zakołysały się w powietrzu. Z gąszczów ozwał się gniewny głos łamaną polszczyzną:

„Stój! nie strzelaj! chcę mówić!“

„Słucham“ odrzekł Jan.

„Zdajcie się, bo wyginiecie! nas siła! nie wytrzymacie i pół godziny!

„Nam też więcej życia jak pół godziny nie trzeba, a jeśli was siła, to czego się chowacie w krzakach? Zresztą, jeśli chcecie, zaproponuję wam“, dodał, starając się przedłużyć rozmowę, by żołnierze mieli czas broń nabić: „możemy się pogodzić w ten sposób: was siła, jak powiadacie, i nas też siła, więc niechże siła sile w drogę nie włazi i idźcie sobie „pid try czorty“!“ skończył po rusku.

Głośne przekleństwo odpowiedziało mu z krzaków i ruch się znów rozpoczął... Wtem hen gdzieś w tyle nieprzyjaciela ozwała się gęsta strzelanina i zmięszane okrzyki.

„To Stefan z piętnastu....“ przemknęło przez głowę Jana. Wprawny do partyzanckiej walki w jednej chwili zrozumiał, że przychodzi najlepsza chwila na atak, którą należy wyzyskać jak najlepiej, więc zwrócił się do żołnierzy.

I zdawało się im, że urósł na olbrzyma z błyskawicą w ręku. A on śmignął pałaszem i huknął:

„Ognia! i na bagnety w imię Boga! Naprzód!!“

Salwa i nieopisany krzyk, jakby z tysiąca piersi wychodził, wstrząsnęły powietrzem. Garść ludzi wyskoczyła z za rumowisk i z zajadłością rozwścieczonego gniazda os, rzuciła się na osłupiałych piechurów moskiewskich.

Zaczęła się bójka na białą broń w ciemności i gęstwinie dość trudna, bo nieprzyjaciel nie mógł strzelać, gdyż walczący tak się zwarli z sobą i zmięszali, że przedstawiali jakąś straszną, ruchomą, czarną masę, pełną wrzasku, przekleństw i jęku; żołnierze zaś Jana rzucali się jak wściekli, milcząc, by siebie nie zdradzać w ciemności i zamięszaniu, kłuli bagnetami, tłukli kolbami, jak kto mógł. Ale nieprzyjaciel rozwścieczony niespodziewanym oporem, a jeszcze więcej zuchwałym atakiem tej garści szaleńców, począł, ufny w swe siły, ruszać się energiczniej i wkrótce każdy musiał już walczyć z dziesięciu dobrze uzbrojonymi żołnierzami.

Położenie garstki stało się niemożliwem, co widząc Jan, uskoczył za jakiś pień stary i podniósł do ust gwizdawkę. Przeraźliwy głos jej wydarł się ponad zamęt walki.

W tej chwili sprawni jego żołnierze rzucili się do ucieczki i rwali co sił ku rumowiskom, nabijając broń w biegu. Nieprzyjaciel skoczył za nimi, ale oni już odbiegli,

w mgnieniu oka skryli się za zwaliska i przyjęli nadbiegających strzałami. Zawiązała się gęsta gorączkowa strzelanina. Nieprzyjaciel poznawszy się na poprzedniej pomyłce, postanowił widocznie zbadać, z kim ma do czynienia, więc cofnął się i począł z krzaków sypać gradem kul, których suche uderzenia, gęste jak bębnienie deszczu kroplistego, kruszyły słabą ochronę powstańców, rozsypywały w gruzy oblepione gliną ściany.

Ze smutkiem spojrzał Jan na swych żołnierzy. Było ich około trzydziestu. Zdyszani, zziajani, ile sił starczyło, spieszyli nabijać broń i hojnie traktowali kulami nieprzyjaciela, ale to ten to ów zachwiał się i padł na wznak, to ten to ów jęknął i za pierś się chwycił.

„Jeszcze chwila“, myślał, „i już ich nie będzie“.

Wtem błysło coś silnie z lewej strony nieprzyjaciela i jakby piorun uderzył. Nieopisany krzyk i strzelanina powstały na lewem skrzydle. Wszyscy wstrzymali się na chwilę w osłupieniu, nie wiedząc co to znaczy — a to stary Szurski dawał znać wrogom, że żyje jeszcze i nie pozwoli, by mu wybili bezkarnie część jego oddziału.

Był to figiel starego lwa.

Wyszedłszy z wioski i nie zdradzając przed nikim swych planów, okrążył cicho jak kot nieprzyjaciela, a teraz całą siłą uderzył go w bok, chcąc rozerwać szyki i popłoch wzniecić.

Plan ten był obmyślany dobrze, ale siły za małe.

Tymczasem wbił się z wielkim impetem ostrym klinem w bok nieprzyjaciela i począł walczyć na gołą broń i pistolety.

Widząc to, Jan skoczył jak płomień ze swą garstką, chcąc się przedrzeć do ojca.

I walczyli jak ci, co umrzeć lub zwyciężyć pragną. Jak olbrzymy rzucali się na całe tłumy, posiłkując się bronią, jaka była możliwą w ciemnym tłumie walczących: ten nożem, ów pałaszem, tamten znów kolbą karabinu. Szamotali się, ryczeli i parli naprzód.

Ale wokół widać było tylko bagnety, tylko dzikie twarze obcego żołnierstwa, tylko śmierć.... Jan szalał najwięcej, morze nienawiści tryskało mu z rozszerzonych oczu, krótki, chrapliwy, wściekły ryk wydobywał się z piersi... Straszny był z pobryzganą krwią twarzą, wyszczerzonemi zębami, z migocącym jak błyskawica, pałaszem w ręku. Ranny w czoło, ciął bez przerwy, zasłaniał się, odbijał razy, uderzał sztychem i parł naprzód jak szalony. Przy nim Stanisław, były kolega jego szkolny i przyjaciel, zadawał straszne razy kolbą karabinu, którym, trzymając za lufę żelaznemi dłońmi, wywijał jak maczugą i rozbijał czaszki. Z drugiej strony Kuźma, stary i przywiązany sługa, szerzył śmierć bagnetem i razem nieraz zastawił „panicza“ swego, którego kiedyś na ręku no ił, przed niechybną śmiercią. Opodal trochę, niedaleko nieprzyjacielskiego sztandaru, walczyło jeszcze dwóch ludzi z zadziwiającem powodzeniem. Byli to znajomi nam, ów Bąk w okularach i drugi barczysty, wąsaty towarzysz „pogromca propinatora“. Szli obok siebie jak dwa odyńce i trupy padały jeden po drugim pod ich stopy, a oni deptali po nich i szli. Obaj byli doskonałymi fechmistrzami — szczególnie Bąk. Przysiadał, podskakiwał, schylał się, to znów wznosił, a bagnet migotał mu w ręku jak żądło osy i co chwila z błyskawiczną szybkością zdawało się dotykał tylko piersi tego lub owego i obalał na ziemię. I chociaż walczy nie z jednym, choć naraz kilka bagnetów skierowują w jego piersi — on nieuchwytnym ruchem roztrąca bagnety, rzuca się między nich, piersią o pierś prawie uderza, kolbą miażdży nosy i rozbija twarze, aż znów odskoczył, znów bagnet jego błyska i w piersi się pogrąża... Tak obaj zbliżyli się tuż do chorągwi. Bąk żgnął chorążego. ale drugi żołnierz pochwycił za drzewce; Wąsacz uderzył go lufą między oczy i chwycił za płachtę, w tej chwili oficer jakiś przyskoczył z boku i ciął go pałaszem. Padł Węsacz przygniatając sobą zdobyty sztandar; Bąk był znów zablisko owego oficera, by go bagnetem porazić, to też wyrwał rewolwer z za pasa i huknął mu między łopatki; w tem jakaś zbłąkana kula strzaskała mu lewą rękę — nie mógł już działać bagnetem, więc począł szybko strzelać w tłum z rewolweru, chcąc choć w ten sposób ile się da zaszkodzić, ale po chwili padł skłuty bagnetami, zbity kolbami, a tłuszcza go pokryła...

Tymczasem świt poranny ubielił gąszcze i walczących. Przy świetle poranku garstka Jana poczęła szybko topnieć, ale przez głowy wrogów dojrzał on siwą głowę ojca, walczącego pośrodku. W tem na twarz jego bryznęła krew gorąca z głowy Stanisława, ciętej

pałaszem i ten ostatni zwalił mu się pod nogi. Janowi jakby żaru kto w pierś nasypał: poczuł zamęt w głowie i rzucił się naprzód już się nie zasłaniając, nie zważając na nic. Przy nim zostało ośmiu tylko towarzyszy upadających ze zmęczenia, prawie niezdolnych bić się dalej. Jan nie zważał na nich tylko darł się naprzód z jedną nie jasną myślą przedarcia się do ojca.

Raptem uczuł, jakby go kto obuchem w kark grzmotnął, w oczach mu pociemniało i upadł....

* * *

Słońce jesienne weszło i spojrzało blade i smutne na pobojowisko, pokryte trupami i pełne jęku rannych, między którymi kręcili się o dzikich twarzach żołnierze, odzierając ich z odzienia i przebijając piersi rannych bagnetem*). Opodal pod rozłożystym dębem zasiadła w półkole starszyzna moskiewska. Przed nimi stał siwy marsowatej twarzy starzec bez lewej ręki, a dwaj żołnierze podtrzymywali pod ręce młodzieńca bladego z błyszczącemi ponuro oczami, który ranny widocznie słaniał się i nie mógł stać o własnej sile. Ubranie jeńców było tak poszarpane, krwią i pyłem zwalane, że prawie nie można było rozróżnić jego koloru. Ręce i twarze też krwią zbroczone.

„Czy to są dowódcy rozbitego przez nas oddziału buntowników?“ zapytał starszy oficer, zwracając się do reszty zebrania.

„Tak, to jest pan Szurski z synem.“ odparł, ubrany cywilnie niskiego wzrostu człowiek, o małpiej twarzy i nieprzyjemnym biegającym wzroku, podchodząc do starego jeńca:

„Prawda, panie Szurski? Znamy się my oddawna, jak łyse konie i kochaliśmy się zawsze bardzo, tylko, żeśmy się znów spotkali w wielkiej losów odmianie, która się panu nie bardzo podoba. A młoda latorośl, panie,— ha, jaki tęgi wojak! Wysoko go zaprowadziłeś, panie Szurski! Przepowiadałem ci to kiedyś, — nieprawdaż?“

Starzec zmierzył go pogardliwym wzrokiem i milczał.

„Aleksandrze Iwanowiczu, daj mu pan spokój,“ ozwał się ów starszy i zwrócił się do jeńca:

„Czy wy jesteście Szurski?“

„Tak.“ brzmiała spokojna odpowiedź.

„Czy pan dowodziłeś tym oddziałem?“

„Ja.“

„Czy to jest syn pański?“

„Tak.“

„Czy też był starszym w oddziale?“

Coś niepewnego błysnęło w oczach starca, ale odparł spokojnie:

„Był pod moją komendą!“

„Hm“ mruknął oficer — „odprowadzić jeńców na stronę!“ rzekł do żołnierzy...

* * *

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy pod rozwaloną ścianą jednej z chat zniszczonej wioski postawiono Szurskich, skazanych przez sąd polowy na śmierć.

Szli obaj z dumnie wzniesionemi głowami, spokojnie stanęli pod wskazaną ścianą: obaj, jakby magnesem pociągnięci, zwrócili w bok głowy i spojrzeli w świeżo wykopaną jamę, mającą być odtąd ich wspólnem mieszkaniem. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. W oczach młodszego łza się kręciła. Stary wziął go za rękę i rzekł nieznacznie drżącym głosem:

„Przyjm, synu, śmierć spokojnie, gdyż swój obowiązek spełniłeś i masz spokojne sumienie... Pomnij, że nie ty jeden cierpisz, a miliony cierpią... Pomnij, że z krwi naszej drzewo zemsty wystrzeli wysoko, szeroko rozrzuci konary, rozgorzeje w tysiącach serce, z tysiąca oczu łzy współczucia wyciśnie, w tysiącach dusz młodych rozpali żądzę poświęcenia — tysiące bohaterów zrodzi... A nad tem wszystkiem kwiat wolności wykwitnie, rozchyli swój kielich, jak ziemia szeroka...“

Wtem przerwano mu mowę, chcąc im zawiązać oczy, ale Szurski z pogardą odtrącił oprawców.

„Myśmy przywykli śmierci patrzeć w oczy“ — rzekł — „Przecie, bijąc was, nie mieliśmy ich zawiązanych...“

Oficer dał znak ręką. Dwanaście karabinów zwróciło się w stronę jeńców, czekając hasła — a oni stali dumni i spokojni, trzymając się za ręce, aż ozwał się niepewny głos oficera:

„Pal!“

Krótka salwa huknęła jak piorun i obaj jeńcy padli obok siebie wzdłuż ściany, ale młody żywy jeszcze począł drgać i wznosić

*) Autentyczne. W wielu wypadkach Moskale mordowali rannych powstańców w 1863 r. Odzierali — zawsze. (przyp. autora).

skrwawioną głowę, przewracał strasznie oczyma — a krew mu z ust buchała.

„Do jamy!“ krzyknął oficer na stojących bezczynnie żołnierzy.

Porwali ich za nogi, w mgnieniu oka wrzucili w jamę i poczęli gorączkowo pracować rydlami...

Wkrótce nad trupami dwóch szlachetnych ludzi utworzyła się niewielka mogiłka — jedyny pomnik ich czynów; a gdy słońce zaszło i noc zapadła — cisza głęboka zaległa miejsce, gdzie przed kilku godzinami rozegrał się krwawy dramat; tylko puszczyk usiadł na gałęzi nad mogiłą rycerzy i przeciągłym głosem odmawiał za nich modlitwę, — a hen, o kilkadziesiąt mil od pobojowiska w cichym dworku przy łóżku klęczały dwie kobiety: staruszka zgrzybiała i młoda pełna życia panienka i zasyłały gorące modły do Boga — Opiekuna nieszczęśliwych i pognębionych o szczęśliwy powrót męża, syna i narzeczonego.

Grzymalita.

Z powodu sztuki Maskoffa „Tamten.“

(O ile wiernie są skreślone w tej sztuce stosunki polskie w zaborze rosyjskim.)

Sztuka Maskoffa „Tamten“ zrobiła na mnie i na moich kolegach z zaboru rosyjskiego bardzo przykre wrażenie. Po krótkiem bowiem zastanowieniu się, musieliśmy przyznać, że *nie takich ludzi daje zabór rosyjski jakimi są bohaterowie p M.*, że ludzie z zaboru rosyjskiego to wspaniały materyał do dramatu nawet bohaterskiego. Ucisk, jaki panuje za kordonem i niewola demoralizują ale tylko słabsze jednostki, za to silniejsze charaktery, jak stal w ogniu, w walce nabierają hartu. Sto lat niewoli były zarazem stuletnią walką o niepodległość. Stuletnia niewola nie zaszczepiła nam w duszę jadu niewolnictwa, bo myśmy nie znosili jej biernie bez protestu: ani na chwilę nie przestawaliśmy czuć, że nas gniotą kajdany i nigdy nie traciliśmy nadziei zrzucenia hańbiącego nas jarzma. Walka o wolność trwa już u nas cały szereg pokoleń: „z ojca krwią spada dziedzictwem na syna“; zaczyna się już w dzieciństwie, bo dziecko polskie od chwili wstąpienia do szkoły moskiewskiej walczy czynnie z caratem, broniąc się przeciw rusyfikatorskim tendencyom szkoły rosyjskiej.[1])

Dość wspomnieć o proteście uczniów szawelskiego gimnazyum przeciw odmawianiu modlitwy rosyjskiej, dość wspomnieć o uczniach wileńskiego gimnazyum, sprzeciwiających się uczczeniu pamięci kata Litwy, dość przytoczyć tych kilka faktów, by przyznać, że młodzież nasza już na ławie szkolnej walczy z uciskiem.

Dzieckiem w kolebce
Kto łeb urwał hydrze,
Ten młody zdusi cent'aury
Piekłu ofiarę wydrze
Do nieba pójdzie po laury·

Kto, jeszcze dzieckiem będąc, już walczy z przemocą i tyle okazuje energii, siły i hartu ducha, jak nasza młodzież, ten wyrasta na bohatera-rewolucyonistę, a nie na człowieka bez charakteru bez woli i energii, jakimi są, podług Maskoffa, polscy studenci.

Walka rewolucyjna za kordonem, czyli budzenie ludu polskiego do walki o wolność i niepodległość, już po powstaniu dała nowy szereg bohaterów — rewolucyonistów; od ostatniego dziesięciolecia nie rekrutują się oni, jak to było z początku zaraz po powstaniu, li tylko z samej młodzieży, ale przeważnie już z ludzi starszych, działaczy dojrzałych i wytrawnych; *ruch rewolucyjny nie koncentruje się jak dawniej w kółkach młodzieży uniwersyteckiej*, ale z potęgą żywiołową rozlał się szeroko i wciąż rozlewa się coraz szerzej wśród mas ludowych, tak że z nim nawet rząd carski — jak świadczy o tem memoryał ks. Imeretyńskiego — (Patrz: Tajne dokumenty rządu rosyjskiego. Londyn) — poważnie się rachuje

Któżby jednak rachował się z *takimi* „rewolucyonistami“ jakich nam przedstawił p. M. w sztuce „Tamten.“

Rewolucyonista współczesny to już nie student; *student rewolucyonista to anachronizm* już od dziesięciu lat.

Studenci p. M. chociaż przeszli przez cytadelę, nie mogą być jednak uważani za działaczy, bo pod wielu względami *stoją niżej nawet od przeciętnego typu studenta war-*

---

[1]) O stosunkach szkolnych w zaborze rosyjskim polecamy kolegom znakomitą powieść Zycha „Syzyfowe prace“.

szawskiego. Studenci p. M. są to poprostu tchórze; warszawscy studenci mają więcej odwagi, temperamentu, są więcej rycerscy, a nawet nieraz skłonni do awantur. Studenci warszawcy nie tak wobec oficerów zachowują się w knajpie, jak to sobie wyobraża p. M. Tylko wyjątkowe jednostki wśród studenteryi warszawskiej potrafiły by tak „rozsądnie“ zachować się w knajpie, jak Kazimierz i jego koledzy; tacy studenci, którzy by pozwolili oficerom moskiewskim następywać sobie na nagniotki, należą do wyjątków i — *nie stanowią wcale typu studentów warszawskich.*

Zachowanie się studentów w sztuce „Tamten“, w scenie aresztowania, jest potwarzą rzuconą na młodzież polską. Wiem, jak wogóle nasza młodzież zachowuje się przy rewizyi i aresztowaniu, upewniam p. M. że nie wygląda wtedy tak zastraszoną, jak to on sobie wyobraża.

Jeżeli rewizya i aresztowania odbywają się w obecności kobiet, to nawet tchórze okazują więcej odwagi, odpowiadają ostro żandarmom i drwią z nich nieraz.

Autor „Tamtego“ nie zna widocznie naszej młodzieży, jeżeli wyobraża sobie, że okazanie się żandarmów tak nastraszyło wszystkich obecnych młodych ludzi, że zapomnieli języka w gębie; stali milcząc, zastraszeni jak strusiątka, pozwolili oficerowi obecnemu przy rewizyi zachowywać się w grubiański sposób: nikt nie kazał mu zdjąć czapki, nikt nie skarcił go za grubiańskie słowa („śmieszny upór dowodzi tylko głupoty“) i za nieodpowiednie zachowanie się.

Taki Kazimierz należy do wyjątkowych jednostek wśród młodzieży zakordonowej. Trudno wyobrazić sobie, jak mógł pozwolić na to młody człowiek, by dla ratowania się od cytadeli narażać swą narzeczoną, oddając jej przy rewizyi kompromitujące polityczne dokumenty.

Zachowanie się Kazimierza w cytadeli na śledztwie *odpowiedniejsze do melodramatu, niż do sztuki z życia wziętej.*

Setki osób przechodzą przez cytadelę: niektórzy znoszą ją doskonale, niektórzy chorują, pewien procent dostaje obłędu najczęściej manii prześladowczej (obawa przed otruciem), ten obłęd nigdy jednak nie nosi takiego charakteru, jak histerya Kazimierza.

Na tysiące uwięzionych w cytadeli wątpię, by znalazł się jeden, którýby po 2-ch dniach zamknięcia zniżał się do żandarma z krzyczącą prośbą histeryka: „Nie, nie, ja nie chcę wracać (do cytadeli), ja nie chcę być sam, nie mogę, ja nie znoszę samotności.,.. nie każcie mnie wracać, bo ja nie mogę, nie mogę, nie mogę!...“

Narzeczona Kazimierza Anna ma więcej charakteru i potrafi nad sobą panować, ale i w niej niema ani energii działaczki ani fanatycznej wiary w ideę, za którą cierpi; Anna jest to egzaltowana panna, lubująca się w tem, że cierpi nie własnem cierpieniem, lecz za ideę, chociaż tej idei ona dobrze nie rozumie, czuje tylko że ta idea „jest tak piękną, tak naszą.“

Anna stoi na wyżynie niedostępnej dla bohaterów p. M., bo nie zmieni jej ani cytadela ani wygnanie.

Szkoda że autor „Tamtego“ nie zna i nie potrafi zrozumieć innych typów ludzi, co przechodzą przez cytadelę, u których wygnanie w większym stopniu niż „u Anny — (jak pojął to nawet Kazimierz) — zamiast wypędzić chęć działania, tę chęć wzmoże.“[1])

Szkoda, że p. M. nie zna ludzi, którzy o całe niebo stoją wyżej od Anny: u nich „chęć działania“ idzie w parze z czynem, mają charakter niezłomny, ogromną energię, fanatyczną wiarę w ideę.

Ludzie ci po wyjściu z cytadeli i odbyciu kilkuletniej kary więziennej w Krzyżu (centralne więzienie dla politycznych przestępców) lub po powrocie z Syberyi znowu biorą się do roboty nielegalnej,[2]) wiedząc że pracują — dla przyszłych pokoleń, a że dla nich *nieuniknionem następstwem* ich roboty będzie znowu więzienie, z którego nigdy już chyba nie wyjdą na swobodę, będąc surowiej karani, jako recydewiści.

Ludzie ci — to bohatery!

Nie są oni żadnym mitem, ani płodem wyobraźni: oni żyją — w Cytadeli, w Krzyżu, na Syberyi, — oni *działają* w kraju.

Nie będę Anny porównywał z tymi ludźmi lub zagłębiał się w charakterystykę poszczególnych osób dramatu; nie wchodzę w ocenę artystyczną utworu. Celem moim było wykazać, że sztuka p. M. daje fałszywe wyobrażenie o ludziach i stosunkach w za-

---

1) Słowa Kazimierza o Annie.

2) Wśród przestępców polityczn. ogromny procent stanowią recodywiści.

borze rosyjskim i już wykazałem że typy osób przechodzących przez cytadelę nie takie są, jak wyobraża sobie p. M. i młodzież nasza jest inną, niż p. M. sądzi. (Dok. nast.)

Kronika.

Gimnazyum w Proskurowie. Z Proskurowa, gub. podolskiej donoszą do „Odeskiego Listka", że starania mieszkańców tego miasta o otwarcie tamże 6-klasowego progimnazyum męskiego nie zostały uwzględnione z uwagi na to, że ludność 22-tysięczna Proskurowa składa się przeważnie z kupców, mieszczan i włościan, a więc osób, których dzieciom, zdaniem ministeryum, wykształcenie gimnazyalne jest zbyteczne. Po za tem ministeryum wskazuje na bliskie sąsiedztwo z Proskurowem trzech średnich zakładów naukowych, mianowicie w Kamieńcu podolskim (110 km.), w Niemirowie (200 km.) i w Winnicy (150 km.) Komentarze zbyteczne.

„Ruch katolicki" w zakładzie Zmartwychwstańców. W internacie ks. Zmartwychwstańców we Lwowie, jedyną gazetą, którą można czytać uczniom, tamże mieszkającym, jest „Ruch Katolicki". Inne zakazane są stanowczo. Zaznaczamy ten fakt, jako illustrujący bardzo dobitnie tę „kwarantannę myśli", zabytek średniowiecznego scholastycyzmu i zacofania, a do dziś pielęgnowany w postępowych (!) zakładach, tak duchownych jak i świeckich. Taki system ukrywania prawdy wyrobić może rzeczywiście u swoich wychowanków bezstronny sąd i bezstronną krytykę!

W Nr. 3. „Młodości", czasopisma akademickiego, wychodzącego w Krakowie spotykamy się z artykułem Władysława Tarnowskiego, który musi wywołać oburzenie w sercu każdego Polaka, który zachował choć skrę patryotyzmu i osobistej godności. Autor stara się odeprzeć zarzut serwilizmu, zrobiony naszej młodzieży, a słowami swojemi dowodzi tylko już nie nawet wpojonego mu przez drugich serwilizmu, ale wprost wrodzonej służalczości i niewolniczego usposobienia! „Obecnie, o ile tylko wszystko w naszym zakresie sumienia wykonamy, to się także nie obawiamy prześladowań", powiada autor a zapomina o tem, co tak jaskrawo każdemu w oczy bije, ile to przeszkód, ile trudności, ile prześladowań przebyć musi u nas każdy, kto chce iść naprzód, a nie w tył, kto pragnie postępu a nie zacofania, jak mu na każdym kroku podcinają skrzydła, aby go zepchnąć napowrót w zatęchłe bagna i błota, choć praca dla idei postępu wcale nie sprzeciwia się sumieniu, owszem robi to, comu sumienie jego nakazuje! Imieniem wszystkich ludzi, dążących do postępu i pragnących światła musimy zaprotestować przeciw tym bezpodstawnym i z gruntu fałszywym słowom! Zmateryalizowanie młodzieży przypisuje autor „łamaniu essencyonalnych praw moralności i zanikowi wiary", ale wcale nie chce zdać sobie sprawy z tego, skąd to pochodzi, nie chce zrozumieć, że bardzo słabe muszą być te podstawy moralności i wiary, skoro przez ogół młodzieży tak często zostają obalane, że zatem wina leży przedewszystkiem po stronie tych, których obowiązkiem było wyrobić te zasady etyczne i moralne, po stronie szkoły, katechetów i księży! Autor „poczuwa się do wdzięczności dla władz wyższych, że go poddały pod tak swojską i naturalną a absolutną zależność senatu akademickiego", który, jak świadczą fakta, tak często prześladował i prześladuje studentów za ich przekonania wolnomyślne (np. odebranie stypendyum akademikowi, który był socyalistą). Aby ukryć swój konserwatyzm i stańczykowskie zapatrywania, kończy autor słowami, że „na drodze posłuszeństwa prawej władzy i poszanowania światłych kierowników (!), którzy nieco więcej doświadczeń zebrali i ciężkie chwile z godnością przebyli (!!), spodziewamy się osiągnąć ideał ojców naszych, krwią w ich sercach wypisany: Wolną Ojczyznę". Dziwimy się jak mogła Redakcya „Młodości", która dość wyraźnie zaznaczyła swe postępowe przekonania, umieścić w swem piśmie artykuł, zawierający w sobie tak wsteczne i idyotyczne pojęcia!

Wieczorek Słowackiego. Podczas półrocznych wakacyi (na początku lutego) odbyły się w lwowskiej szkole realnej dwa wieczorki ku uczczeniu pamięci Juliusza Słowackiego w pięćdziesięcioletnią rocznicę jego zgonu. Pierwszy wieczorek był przeznaczony dla uczniów szkoły, a drugi (z niewiele zmienionym programem) dla ich rodzin i zaproszonych gości. Na bogaty program złożyły się wyjątki z dramatycznych utworów Słowackiego, z Maryi Stuart i scena w podziemiu z Kordyana i część wokalna a więc chór, zdwojony kwartet i śpiew solowy. W części dramatycznej dość wielką naturalnością i wprawą odznaczyli się koledzy Andruszewski i Hofman, w części muzycznej kol. Strzygowski. Najwięcej

jednak wszystkim podobały się gustowne dekoracye sali wieczorkowej. Na ścianach wisiało kilkanaście obrazów, niektóre z nich olejne, większa część zaś robiona kredką lub czarną farbą. Wszystkie one zostały wykonane samodzielnie przez uczniów szkoły w ostatnich kilku latach. Największe wrażenie na widzów sprawiały arcydzieła Grotgera powiększone prawie do naturalnej wielkości. Takie wieczorki odbywają się w szkole realnej od kilku lat, urządzaniem ich zajmuje się komitet z grona młodzieży. Gronu nauczycielskiemu i dyrekcyi szkoły należy się uznanie, że przynajmniej na tem polu nie stawia przeszkód chęci organizowania się i samodzielności młodzieży.

Obrona inkwizycyi przez profesora. Najzwyklejszym zarzutem, czynionym naszej młodzieży jest brak ideałów. Nie jeden profesor — filolog, strawiwszy kilkanaście lat na wbijaniu „form“ łacińskich lub greckich w młode umysły, przychodzi do strasznego przekonania, że młodzież dzisiejsza niema żadnych ideałów! — A czyjaż to wina? wszak dziecko nie przychodzi na świat z ideałami lecz trzeba, mu je wpajać w duszę, A jakżeż to robią światli pedagogowie? — Oto w pewnem lwowskiem gimnazyum profesor,*) wykładając historyę, zatrzymuje się przy „inkwizycyi hiszpańskiej“, aby ją przedstawić w należytem świetle;

— „Okrzyczaną inkwizycyę mało kto dobrze rozumie; a powstają na nią tylko ludzie tacy, którzy jej nie znają. Że zostawiła po sobie złą sławę, to nic dziwnego, bo Kościół zawsze miał i ma nieprzyjaciół, którzy starają się szkodzić mu na każdym kroku i dlatego przedstawiają inkwizycyę w najgorszem świetle. Ale tak nie jest, jak źli ludzie mówią. Prawda, że posługiwała się doraźnymi środkami, lecz naówczas było to rzeczą zwykłą, a inne państwa nawet surowiej postępowały z przestępcami. Wszak inkwizycya nic miała nic wspólnego z kościołem. Była to instytucya państwowa. Są tak podli ludzie, którzy jeszcze teraz pokazują torturowe narzędzia inkwizycyjne, jednak to fałsz, żeby się niemi miano posługiwać! Niektórzy ją oczerniają, bo są ludzie i ludziska!“

— Oto złote myśli naszej pedagogii. Lecz kierownicy młodzieży zapominają, że prawda nie da się ukryć! A jeżeli chcą oświecać młode umysły, to nie przez fałsz i pokrywanie okrucieństw, bo to jeszcze więcej zaciemnia prawdę!

---

*) Nazwisko jest nam znane.

Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza we Lwowie rozpoczął już swoje czynności — z wielkiem powodzeniem. Nie potrzebujemy chyba szeroko rozwodzić się nad tem, jak doniosłe znaczenie ma instytucya taka, zwłaszcza w Galicyi. Będzie ona szerzyła wśród ogółu wiedzę niefałszowaną, będzie udzielała nie mdłego pokarmu, przyrządzonego dla „prostaczków“, lecz rzetelnej, pożywnej karmi duchowej. Lud nie jest dzieckiem — można mu mówić wszystko, byleby w popularnej, przystępnej formie. Komu oświata leży na sercu, powinien gorąco „Uniwersytet ludowy“ popierać. Wstęp na wykłady pojedyncze kosztuje tylko 5 centów. Broszura p. Edmunda Libańskiego „Co to jest uniwersytet ludowy?“ wyjaśnia dokładnie znaczenie uniwersytetu na przykładach zagranicznych (cena 5 centów — na dochód uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza we Lwowie).

Postęp techniczny.

Wiek XIX. nazywają wiekiem wynalazków. W rzeczy samej cała poprzednia historya ludzkości nie może nam wykazać tylu i tak doniosłych wynalazków, co ostatnie dziesięciolecia wieku XVIII. i nasze stulecie. We wszystkich dziedzinach przemysłu widzimy olbrzymi, zadziwiający wzrost *produkcyjności pracy*. Co rozumiemy przez wzrost produkcyjności pracy? To, że ta sama ilość pracy, co dawniej, dostarcza nam daleko więcej produktów, wytworów, albo że z mniejszą o wiele ilością pracy możemy otrzymać tyleż wytworów co dawniej. Jeżeli chodzi o transport, o przewożenie towarów, ludzi i wiadomości (listy, depesze), to i tutaj, jak przy wytwarzaniu towarów, ta sama ilość pracy daje daleko większe rezultaty albo ten sam rezultat zostaje osiągnięty z daleko mniejszym nakładem pracy. Inaczej można to wyrazić tak: ilość pracy, potrzebna do wykonania jakiejś czynności przemysłowej, ogromnie się zmniejszyła, a skutkiem tego jest, że wzrosła niesłychanie ogólna ilość wytworów, cena zaś każdego pojedyńczego wytworu odpowiednio się zmniejszyła. Zawdzięczamy to właśnie postępowi technicznemu, to jest wynalazkom i ulepszeniom w procesie pracy. Sądzimy, że czytelników naszych zainteresuje kilka wymownych przykładów.

Weźmy nasamprzód *szewstwo*, w którem u nas panuje praca ręczna. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych obuwie robi się dzisiaj sposobem maszynowym. „W jednej z większych fabryk obuwia damskiego w Ameryce 100 robotników wytwarza przy pomocy maszyn taką samą ilość obuwia, jaką dawniej przy ręcznej robocie wytwarzało 500 robotników“. „Zdaniem pewnego fabrykanta obuwia dziecinnego w Filadelfii, dziś przy pomocy maszyn wytwarza się tego towaru 6 razy więcej, niż przed laty 30-tu“.

Adam Smith z podziwem opowiadal o wyrobie *szpilek* przy którym 10 robotników wytwarzało dziennie 48.000 sztuk. Było to w r. 1776. Dziś po zastąpieniu pracy ludzkiej maszynową, 3-ch robotników wytwarza dziennie 7½ miliona szpilek.

Wyćwiczony robotnik do niedawna używanym sposobem ręcznym mógł wykonać dziennie 3 tuziny par *szpilek*; dziś jeden robotnik zrobi na maszynie 9.000 par dziennie.

W drukarstwie, przy pomocy prasy pospiesznej, jeden robotnik zastępuje 5.000 przepisywaczy średniowiecznych. Cena książki drukowanej jest o wiele niższa od ceny książki przepisanej. W r. 1328 biblioteka pewnego adwokata włoskiego, składająca się z 16 tomów, kosztowała 3.979 franków na dzisiejsze pieniądze. Dzisiaj „Gazeta Polska“ w Warszawie, pismo codzienne, daje swoim prenumeratorom co tydzień jedną książkę bezpłatnie, jako dodatek.

Ekonomista amerykański Wells oblicza, że, przy zastosowaniu wszelkich wynalazków techniki, dla otrzymania *pszenicy*, a następnie *mąki i chleba* dla 1.000 ludzi wystarcza praca nie więcej, jak 10 robotników.

Równie wielki postęp widzimy w *przemyśle transportowym*. Koleje żelazne, parostatki, telegrafy, telefony wywołały tutaj zupełny przewrót. „Dziś przewożą towary z Australii do Anglii, odległej o 11.000 mil, z większą szybkością i taniej, niż przed stu laty z jednego kąta wyspy Brytanii do drugiego“. Opierając się na stosunkach amerykańskich, Weles powiada: „Praca, wykonywana rocznie przez koleje, czyni dla ludzi tyle, ileby zyskali, mając każdy do swego rozporządzenia jednego konia w ciągu dni 12-tu“. E. Herrmann mówi: „prędkość komunikacyi... skutkiem dróg żelaznych powiększyła się 20 razy i więcej, w porównaniu z tą prędkością, jaką mogli posługiwać się nasi przodkowie za czasów zwyczajnej komunikacyi wozowej, nawet przy najlepszym stanie dróg“. Odpowiednio do tego zmniejszyły się też koszta transportu. Foville oblicza średnią cenę przewiezienia tonny (1.000 kilogramów) na kilometr: na zwykłych wozach we Francyi 25 centimów, na drogach żelaznych 6 cent. (na rzekach 2 cent., na kanałach 3—4 cent., na grzbiecie wielbląda 42 cent., na grzbiecie mula 87 cent., na plecach ludzkich 3 franki) A jak długo szły wiadomości jeszcze w początkach XIX. w., świadczy fakt, że o zwycięstwie pod Waterloo (18. czerwca 1815 r.) gabinet angielski dowiedział się dopiero wieczorem 21. czerwca. Dziś wiedzielibyśmy o tem natychmiast.

Powyższe przykłady, których ilość dowolnie możnaby powiększyć[1]), świadczą o olbrzymi postępie technicznym naszych czasów. Ale dobrobyt mas wcale nie wzrósł równomiernie, może nawet położenie ich pogorszyło się o tyle, że dzisiaj postęp techniczny wszystkim zapewnić może dobrobyt, a masy tymczasem mało z niego korzystają. To też najważniejszem zadaniem ludzkości jest rozszerzenie dobrobytu na wszystkich, dopuszczenie wszystkich do udziału w skarbach techniki i kultury. *R.*

Rozmaitości.

Motory poruszane przez bakterye.

W motorach parowych źródłem pracy jest ciśnienie wywierane przez parę, w motorach benzynowych ciśnienie wywierane przez gazy, wytwarzające się przy spaleniu benzyny, nikt jednak dotąd nie pomyślał aby bakterye mogły być użyte jako siła poruszająca.

Ale tak jest w rzeczywistości, niektóre bakterye wytwarzają przy swej czynności życiowej gazy, których ciśnienie można potem zużytkować do poruszania motorów; n. p. zwykłe drożdże żywią się cukrem gronowym i owocowym znajdującym się w soku wszystkich owoców i rozkładają go przytem na alkohol i gaz zwany bezwodnikiem węglowym.

[1]) Niektóre z nich zaczerpnęliśmy z książeczki D. A. Wellsa „Postęp techniczny w przemyśle współczesnym“. Warszawa 1897. (Cena 25. centów)

Na tem polega wyrób napoi spirytutowych. Potrzebny do tego cukier, albo jest zawarty w soku owoców, albo wytwarza się go sztucznie z mączki (skrobii). Z cukru otrzymuje się alkohol przez fermentacyę.

Drożdże wywołujące fermentacyę znajdują się w powietrzu i dlatego sok owocowy zostawiony na powietrzu zaczyna fermentować. Ale fermentowanie będzie o wiele żywszem gdy do roztworu cukru owocowego wsypiemy drożdży. Drożdże rozkładają ten cukier na alkohol i bezwodnik węglowy (prawie w równych ilościach) i na nieznaczne ilości innych połączeń (jak gliceryna, kwas bursztynowy i t. d.)

Z tego postanowił skorzystać inżynier Mielników w Odesie. Robił on najpierw doświadczenia i przekonał się, że gdy do naczynia da się drożdży, roztworu cukru owocowego (wody 15%), kwasu fosforowego, żelatyny i innych połączeń umożliwiających fermentacyę bez dostępu powietrza, zamknie to naczynie hermetycznie i pozostawi w temperaturze mniej więcej 20°, wtedy po 24 godzinach ciśnienie wzrośnie do 4½ atmosfer.

Wynikiem tych doświadczeń jest model motoru, który przy sprzyjających okolicznościach może pracować 20—30 godzin bez przestanku.

Motor ten jednak niema praktycznej wartości, bo zużywa tyle cukru, że się praca przezeń dostarczona nie opłaca Mielnikow robi teraz doświadczenia czy niemożnaby zużytkować bakteryi powodujących zgniliznę i wytwarzających inne gazy (jak n. p. siarkowodór), jako siły poruszającej, coby się prędzej opłacić mogło.

Muchomór.

Sprostowanie.

W 1. N-rze „Teki“, czasopisma poświęconego sprawom młodzieży szkół średnich, czytamy następującą wzmiankę: „W pierwszych dniach b. m. pojawił się okazowy numer „Promienia“, miesięcznika poświęconego młodzieży szkolnej. O ile wnosić możemy z pierwszego numeru, pismo to (będące nawiasem powiedziawszy odłamem naszego czasopisma) ma na celu, tak jak „Teka“, budzić młodzież z drzemki i służyć sprawie postępu. Roboty dla obu pism nie zabraknie!“ Notatkę tę sprostować musimy o tyle, że pismo nasze jest najzupełniej samoistne i bynajmniej „odłamem“ Teki nie jest.

Sprostowanie tej treści posłaliśmy redakcyi „Teki“.

Odpowiedzi od Redakcyi.

J. Lęski. Lwów. Temat bardzo sympatyczny, przeprowadzenie zbyt szkicowe; prosimy o inne próby.

Autor wiersza „Do miłości“. Myśli przeważnie piękne, forma zbyt niewyrobiona. Nie możemy umieścić.

Antoni Lambda. Do naszego pisma praca nie nadaje się.

Jeden z młodych. Artykuł odłożony do następnego numeru.

Kolega Dziunio. Kwestya umieszczenia nowelki odłożona do następnego numeru.

Prosimy kolegów uczniów o podpisywanie przysyłanych nam prac swoich pełnem nazwiskiem i opatrzenie ich także pseudonimem. Pseudonimy zachowujemy w tajemnicy. Upraszamy również ze względów technicznych, aby nadsyłane nam prace były pisane tylko po jednej stronie kartki. Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Zwracamy uwagę czytelników, iż pismo nasze „Promień“ można prenumerować i kupować pojedynczo we wszystkich ważniejszych księgarniach we Lwowie, Krakowie i na prowincyi.

Od Redakcyi.

W następnym numerze umieścimy bardzo ciekawą rozprawkę jednego z kolegów-Rusinów p. t.: „Polsko-ruskie stosunki pomiędzy gimnazyalną młodzieżą w Galicyi wschodniej“.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.